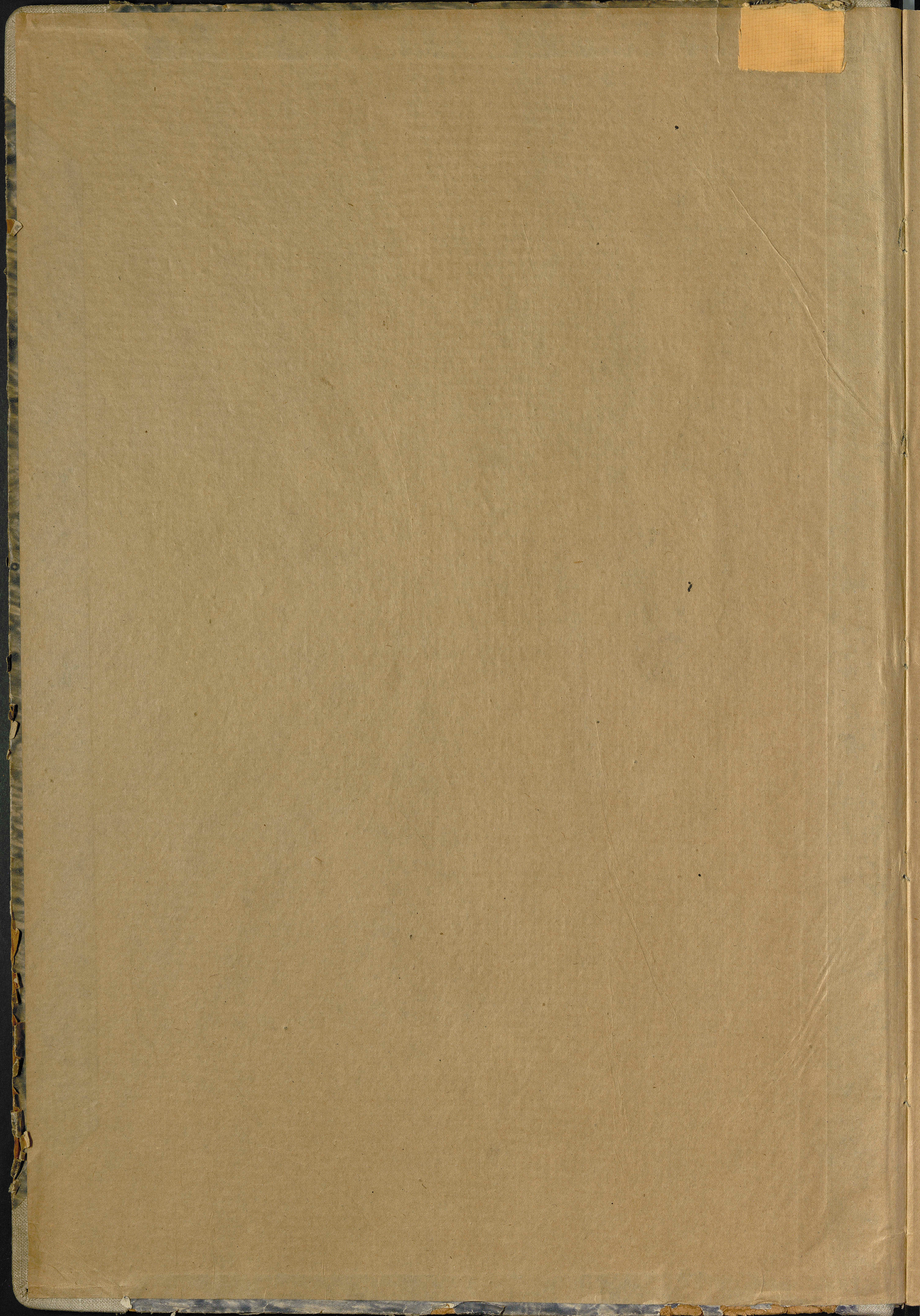


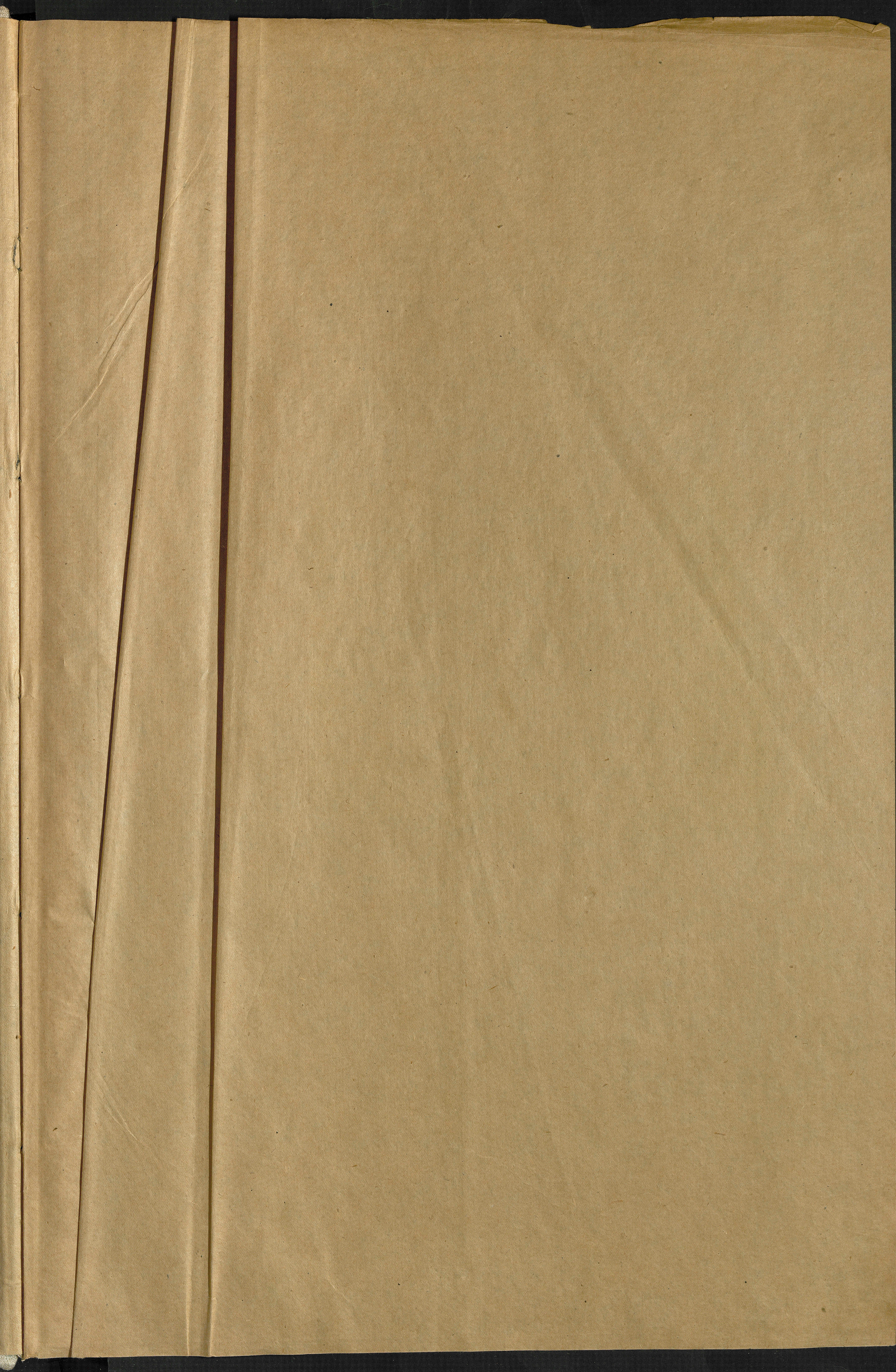
BIBLIOTEKA
Z. N. im. Ossolińskich

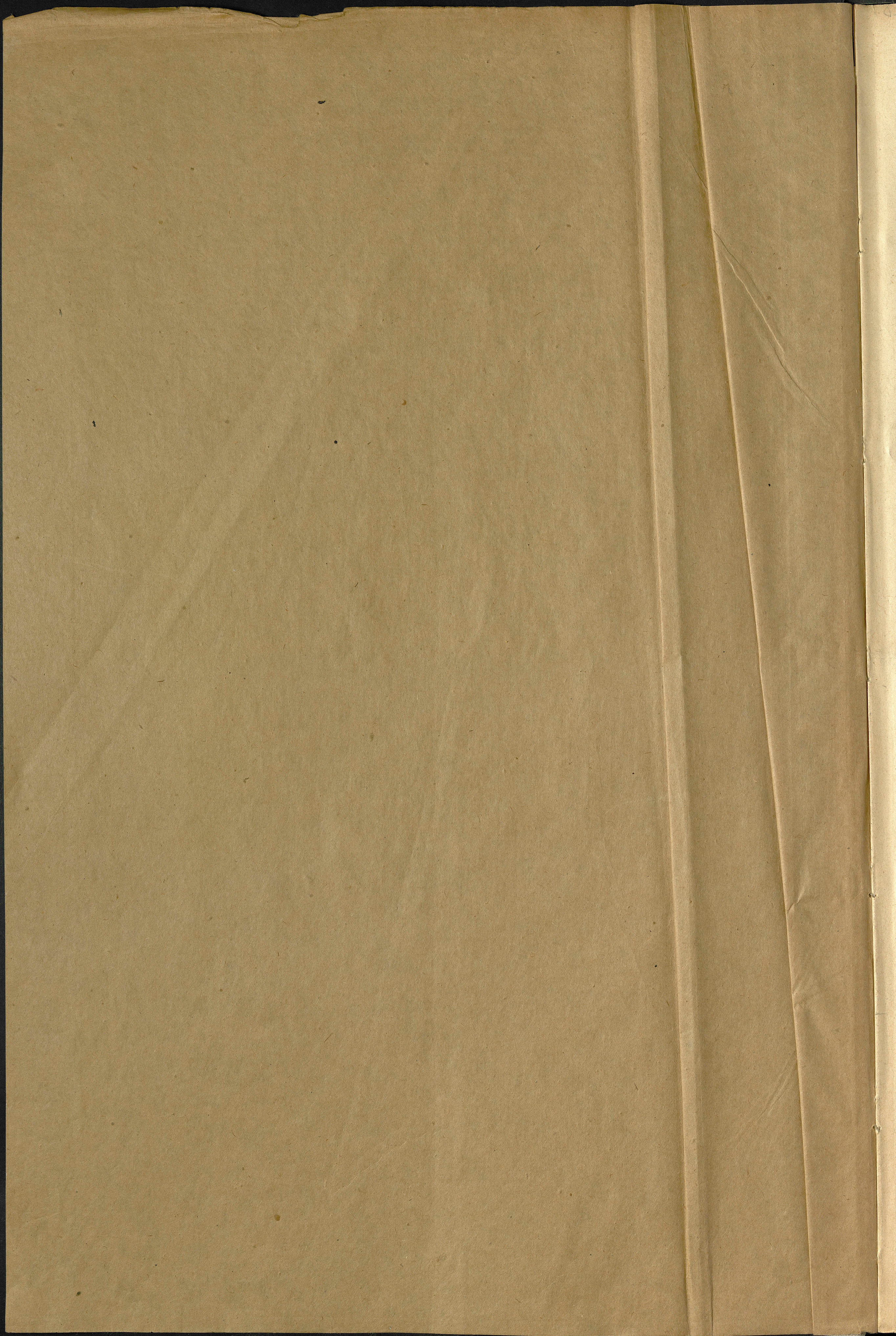
295.360

BIBLIOTEKA
Z. N. im. Ossolińskich

1953 r.







W. RYMKIEWICZ — Notes S. PIĘTAK — Córka L. BARTELSKI — Wczoraj pustynia, dziś...
J. K. MACIEJEWSKI — Luboszyce planują zasiewy K. PAŁYS — Artyści nad Bukową
B. LESMAN — I w Kontrwersie przełom... B. GRABOWSKI — Do Głław, do ojczyzny...
A. MAJOREK — Z księżką na wieś koszałwińską R. KORN — Wieś francuska w walce...
S. KRZEMIEN — Reportaż, czy nie reportaż? T. CHRÓŚCIELSKI — Na mazowieckiej drodze

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 4 stycznia 1953 r.

Nr 1 (387)

Odpowiedzi JÓZEFA TALINA

MOSKWA (PAP). Agencja T. ogłosiła następujące odpowiedzi Józefa Stalina na pytania korespondenta dyplomatycznego „New York Times”, Jamesa Restona z dnia 21 dnia 1952 r.

PYTANIE: Czy w chwili, gdy się nowy rok i w Stanach Zjednoczonych przyjdzie ma nowa administracja, nadal żywi Pan przekonanie, że Związek Socjalistycznych Republikańskich i Stany Zjednoczone mogą żyć w pokoju w ciągu nadchodzących lat?

ODPOWIEDZ: W dalszym ciągu wierzę, że wojny między Stanami Zjednoczonymi Ameryki a Związkiem Radzieckim nie można uważać za nieuniknioną, że nasze kraje mogą nadal żyć w pokoju.

PYTANIE: Gdzie Pańskim zdaniem tkwią źródła obecnego napięcia międzynarodowego?

ODPOWIEDZ: Wszędzie i wszędzie, gdzie tylko przejawiają się agresywne działania polityki „chłodnej wojny” prowadzonej przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

PYTANIE: Czy powitałby proznowy dyplomatyczne z przedstawicielami nowej administracji głównie dla rozpatrzenia możliwości spotkania między Panem a gen. Eisenhowerem w sprawie osłabienia napięcia międzynarodowego?

ODPOWIEDZ: Ustosunkowię do takiej propozycji pozytywnie.

PYTANIE: Czy będzie Pan współpracował w jakimś nowym przedsięwzięciu dyplomatycznym, m. in. na celu położenie kresu wojnie w Korei?

ODPOWIEDZ: Zgadzam się współpracować, gdyż Związek Radziecki jest zainteresowany w likwidacji wojny w Korei.

SŁOWA potoczne i w rzeczywistości przejrzyste jak kryształ wody. Nagie w swojej prostocie, jak surowe linie klasycznej architektury. Dlatego właśnie zostawiają pola do niedomówień, nie pozostawiają nic w cieniu. Są samą jasnością, samą logiką. Cóż można do nich dodać, skracającą wszystkie wązkie gardyjskie współczesności, dają odpowiedź na wszystkie pytania podniesione w Wiedniu. Ich treść — wyższe słowa — mieści w sobie istotę dramatu świata, a równocześnie wskazuje rozwiązania.

Każdy przechodeń mógłby sformułować. Lecz wagę mają zbiorowej jednolitej woli, myśli i uczuć wielkiego zjednoczenia narodów. Zjednoczenia jakiegoś dzieła, do którego nie należy. I może dla wyupuklenia ich miary los zrzucił, że odpowiedzi Józefa Stalina zostały udzielone w tym samym niemal dniu, kiedy przypada trzydziesta rocznica powstania państwa, którego budowa biera się na stalinowskiej idei narodowościowej, na stalinowskiej koncepcji współżycia ludów.

„Dzień dzisiejszy — mówi Stalin 30 grudnia 1922 r. wnosząc o powołanie do życia Związku Socjalistycznych Republikańskich — jest dniem triumfu nowej Rosji i dawną, nad Rosją — zandarmem Europy, nad Rosją — oprawcą Azji. Dzień dzisiejszy jest dniem triumfu nowej Rosji, która skruszyła łańcuchy ucisku narodowego, zorganizowała zwycięstwo nad kapitałem, stworzyła dyktaturę proletariatu, obudziła narody Wschodu, stała się namiętnym robotników Zachodu, przekształciła czerwony chorągiew w państwowy sztandar państwowy i skupiła wokół tego sztandaru narody republik radzieckich, aby zjednoczyć je w jednym państwie”.

Historia zna wiele państw wielonarodowych. Od imperium rzymskiego starożytności po monarchie austro-węgierską, Portę Otomańską i współczesne imperia kolonialne, wszystkie wzniesione były na ucisku narodu przez naród. Stan Zjednoczone są olbrzymim ghettem politycznym narodów, carska, sandzierżawna Rosja była ich więzieniem. Wyłom w tragicznej regule porządku socjalizmu. Powstało — jak stwierdził Stalin w 14 lat później — „całkowicie ukształtowane wielonarodowe państwo socjalistyczne, które przetrzymało wszystkie próby, którego trwałość mogłoby pozazdrościć każde państwo narodowe w każdej części świata”. Powstał zwiek wolności, równości i braterstwa socjalistycznych narodów, które obecnie wkraczają w komunizm.

Związek Socjalistycznych Republikańskich mógł wszystkie próby zwycięsko przetrzymać i coraz potężniejszym krokiem iść do przyszości, gdyż jego myślą przewodnią, busolą i fundamentem jest dobro każdego człowieka. Główną najwyższym dobrem człowieka jest życie, a póki stanowi najsukuczniejszą życia gwarancję — ZSRR przez lat trzydziście swego istnienia skutecznie i nieugięcie walczył o wprowadzenie powszechnego pokoju i miliony obywateli radzieckich, przedstawicieli sześćdziesięciu z gór narodu, mających jasnym za cenę krwi usunąć z powierzchni ziemi potworne ogniska wojny. Słusznie więc ZSRR stał na czele powszechnej walki o pokój, jaką narody świata wydały wrogom ich spokojnego współżycia, spokojnego rozkwitu ludzkości, wydały wojnę zimnej i wojnę gorącej — wojnę we wszelkiej postaci.

Siewcy nieufności, ludowiczowie żelaznych zapór między narodami i ludźmi próbowali oderwać stowu POKÓJ jego piękne znaczenie, pozbawić je treści, barwy i siły. Kongres Wiedeński przywrócił mu pełnię blasku. I pełnia blasku oświecenia nazwiska laureatów Stalinowskiej Nagrody Pokoju. Świat znał niegdyś inną jeszcze nagrodę. Lecz komitet Pokojowej Nagrody ją nie widział godnych jej nadania. Może ich szukał w tym zacieśniającym się kręgu, gdzie Biały Dom rzuca krwawe cienie — a może już nagrody doszło do wniosku, że trzeba by rozdać miliony nagród.

Ten punkt widzenia podzielał komitet Nagród Stalinowskich. Nie przeszkodziło mu to w dokonaniu wyboru. Przyznano sześć nagród, a każda prócz laureata pięćdziesiąt milionów jego współobywateli, walczących nieulekłe na czterech kontynentach — w rozgwarze wielkomiejskich ulic i w ciszy wsi, w łoskocie fabryk i pośród złowrogiego milczenia więzień.

Walcząc o to by utrwaleniem potęgi jednego słowa rozpocząć na nowo życie — zastępie dla polowy świata w łoskocie atomowej próżni — by spełniła się nadzieja ludzkości, prawo ludzkości, wola ludzkości — POKÓJ.

Pod sztandarami pokoju wkraczamy w rok 1953.

JAN ALEKSANDER KRÓL

„JEDEN DUCH NARODU POLSKIEGO”

KAROLA Nowackiego znam. Staruszek przypomina z wyglądu trochę pastora, trochę aptekarza z małego miasteczka. Wyobraźcie sobie to jeżdżące, to drugą figure, kiedy na drodze zatrzymuje ludzi i dalejże pouczać, doradzać i moralizować. Sztynny, zasuszone, uśmiechnięty staruszek. O-braz drogi nie jest przenośnią, sporo kosztowała Nowackiego ta droga. Jego bowiem krótkie, krytyczne korespondencje do „Rolnika” i „Gromady” w swoim czasie wzbudziły w Gminnej Radzie nieufność, jak to się mówi — zasadniczą. Stary tam nie zaglądał, a wiedział o wszystkim, jakby z ksiąg gminnych. Czytał. Na drodze zatem nie tylko moralizował i pouczał, nie mniej gęsto wypyttywał. Dokąd poszedł „po interesie”, ucinął pouczający wywiad. To żywe, wszechdobryskie zainteresowanie ma kilka źródeł. Nowacki średniakiem był już przed wojną. Lata 30-39 nie zagroziły mu wypłukaniem. Wystawił sobie nawet nowe zabudowania. Brat został nauczycielem. Po wyzwoleniu nowy, przemieniony porządek Nowackiego nie oziścił, baczyl więc trzeź, czy mu co nie ubędzie.

Oto jedno źródło stałego, skrupulatnego i szczegółowego porównywania jak było i jak jest. A drugie... Nie odwołuje się do prawdziwości Nowackiego. Silniejszymi argumentami od słów są nawyki starożytności. Dobry to rolnik, gospodarz, zapobiegliwy, czytany kiedyś na kalendarzach, dociekający doświadczeń sąsiadów. I — co zgadza się z jego portretem — nie rebałoj, nie wodzi, nie awanturk — ostrożny, trwóżyliwy, praworządny, jakby dla świętego spokoju urodzony. Ale po wojnie zmieniło się i coraz bardziej zmienia w tym również sensie, że średniak o święty spokój nie ma potrzeby zabiegać. Ma go. Ostrożność? A cóż mu grozi, kiedy to z nim nowy ustrój umacnia sojusze. Dawniej jego czynności służyła uszami na dwa fronty. Zie z biedniakiem? To znaczy — i na mnie może przyszła kreska. Kulak znów podkoczył? To znaczy — wytrąci z równowagi, jaką codziennie z takim trudem średniak zdobywał, że przejściowo, chwilową równowagę między dolami, a górą wsi. A teraz? Nawet tępy średniak widzi, że koniec z dawną husztawką. W siódle siedzi mocno. Biedniak staje na nogi, a kulaka ograniczają, takta to polityka.

Po wojnie zmieniło się i w tym również sensie, że na wsi coraz bardziej potrzebny jest głos specja. Dawniej był to „z urzędu i uważania” głos kulaka, działacza-przedsiębiorcy. Nowa rzeczywistość otwierała najwcześniejsze pole do popisu przed średniakiem. A średniak wiedza rolnicza rzetelniejsza od kulackiej, bardziej osadzona w samej produkcji niż w kombinacjach handlarzskich, mniej spleciona z „polityką”, urzędami i transakcjami.

Nowacki osiadł po wyzwoleniu w bydgoskim województwie. Jasne,

że rozejrzał się w nowej okolicy „klasowo”. A trafił szczególnie pomysłnie, o województwie bydgoskim powiadają bowiem, że to „kraj średniaka”. Na starość wygrzebał Nowacki spod wielu różnych pokładów to, co w nim miało najdłuższy i najsłabszy żywot: pasję, wiedzę i ciekawość rolniczą. Cała polityka rządu ludowego sprzyjała i sprzyja temu procesowi. Nowacki zabrał się do gazet, broszur, słucha radia, kurs jakiś odbył, instruktorem poletek buraczanych został. W „krajnie średniaka” zyskał szczególnie silny bodziec. Siła tego bodźca odegrała w pierwszych latach twórczą rolę. Ale jego kierunek popchnął starego na pozycję chwalcy indywidualnej gospodarki.

Kiedy pojechałem w Bydgoskie, aby odwiedzić i poznać Nowackiego (było to latem ub. roku), już po drodze w Komitecie Powiatowym Partii, a potem w Gminnej Radzie wypłynęła ta sprawa. Pokazywałem przemówienie starego ze Zjazdu Korespondentów Opis gminy Gruczno (pow. Świecie). Towarzysze z KP, a potem z KG wskazywali na to samo... że w gminie na 10 wsi, 5 jest już współdzielczonych — o tym Nowacki tylko informował, a rozpisywał się o osiągnięciach indywidualnych rolników. — Widzicie to?

Z przykładów, jakimi mnie Nowacki zasyłał, mogłem odczytać taką mniej więcej koncepcję: od jednego mistrza wziąć metodę uprawy buraka, od drugiego — hodowli, od trzeciego — płodozmianu itd. aby dojść do wszechstronnego majsterstwa na własnym gospodarstwie. Po takim torze przebiegała mroczna wyobraźnia Nowackiego.

Nałwony dziadzio? Czy szczwany staruch? Takie pytania narzucała sytuacja gminy. Cóż to bowiem znaczy wynosić pod niebiosa zabiegliwość i efekty indywidualnych rolników w gminie, której połowa żyje już od dwu lat, czy od roku w spółdzielniach produkcyjnych?

Czy Nowacki prowadzi świadomą opozycję? I „dobry rolnik” — w jego ustach to aktualny chwyt taktyczny? Kiedy zaś będzie trzeba, zamieni go na inny w obronie przed spółdzielnią? Na dożynkach w gospodzie ludowej wzięli Nowackiego do obrotu spółdzielcy. Potoczyli się dyskusje zasadnicze. Stary, jak pies z pazurami na wierzchu, drapał spółdzielców niemilosierdzie. Chciał bowiem okazać się godny ich towarzystwa, godny jako indywidualny gospodarz. Sympa więc przykladałmi dzielności i sumiennosci rolników. Wynik był pożałowania godny. Jeden po drugim odchodzili spółdzielcy, klnąc na boku: twarda sztuka... nie nie rozumie... konserwatysta... obcy... Nowacki pozostał wreszcie sam przy stole z nieznanym uśmiechem pastora albo aptekarza.

Nie zawsze zdajemy sobie w pełni sprawę, jak niezwykle rolę ode-



BOLESŁAW BIERUT

Rys. T. Kulisiwicz

grały dla średniaka nowe warunki Polski Ludowej.

Z dwóch dusz handlarzka uległa skurczeniu, usycha. Kto jak kto, ale średniak mógł się całkowicie rzucić w produkcję. W gospodarce wdrożyć światło planu państwowego, zestawień rocznych, kontraktacji: przyszła jej w pomoc polityka postępu w metodach, maszynach i środkach, otoczyła ją opieką, uznaniem i zachętą państwa. Każde osiągnięcie produkcyjne nabierało znaczenia, znamion czynu patriotycznego i stawało się sprawą honoru. Dopiero teraz średniak odzyskał pełnię uroku pracy. Ten urok odrzucił Nowackiego. Pomajsterstwu, wymyśleć, udoskonalić, zastosować się — ta perspektywa wciąż jeszcze nie wyczerpana na indywidualnym zamkniętym starego i odciętego od świata. Przecież dokonała młodości, jakiej nie miał, trwóżył wówczas konkurencja i dzika walka gospodarza... bez reszty oddać się wreszcie samej sztuce gospodarowania.

W takich więc, jak Nowacki, ożywił się zapal produkcyjny, bezinteresowna w dużym stopniu pasja majsterstwa. Rok po roku ukazywał im nowe możliwości rozwoju i osiągnięć. Ale też tu, a nie gdzie indziej, najostrejszy musiał się zarysować konflikt między indywidualną, a społeczną gospodarką. Dynamika Nowackiego miała swój

tor wyrobiony. Stary jeszcze nie wyżył się w perspektywach indywidualnego gospodarstwa (mocnego średniaka), jeszcze ich nie wyczerpał. Spółdzielnie powstające w gminie rozwinęły dynamikę po innym torze.

Nowacki rozpedzony po swoim torze, choć nie był w opozycji do spółdzielczości, zgadzał się wejść do kolektywu, kiedy pójda inni, choć chwalił okoliczne spółdzielnie i zachęcał ludzi, ale w tej akcji był to jeszcze drewniany agitator, nie rozbudzony, nie spasionowany do nowego systemu, nie rozmakowany w jego metodach i osiągnięciach, dlatego beznadziejny i banalny, w wywodach.

Takim go zęgnąłem latem. Uplynęło pół roku. W ostatnich dniach grudnia nadszedł list od Nowackiego.

Najpierw kilka faktów. 5 grudnia postanowił Jarosław w wielkim zgromadzeniu w Grucznie dokonać przeniesienia uchwały I sesji nowego Sejmu. Jarosław jest członkiem spółdzielni produkcyjnej w Kossowie, wsi należącej do gminy Gruczno, czyli sąsiad, spółziela. Nowacki nie utracił przez to entuzjazmu.

„Pierwszy raz w historii — pisze — i pierwszy w przeżyciach mej starości doczekałem się spotkania wyborców z posem, który daje wyraz spójni i miłości między miastem, a wsią”.

Drugi fakt. Pierwszym, który zabrał głos po moim posłanki, był właśnie Nowacki. Co mówił? „My wszyscy wyborcy przyrzekaliśmy, ile nam tylko siły starczy, spełnić zadania Władzy Ludowej, której przewodzi Bolesław Bierut. Bo rozumiemy, że w pracy i spełnianiu obowiązków leży nasza broń Pokoju i szczęśliwa przyszłość naszego narodu”.

Nowacki nie zaprzestał rozmów na drodze, ale od lata odwiedza już Gminną Radę i Komitet, gdzie koncentrują się sprawy nie tylko polityczne i administracyjne, ale także spółdzielcze. Miał dawniej powody omijać budynek Gminnej Rady i jego bowiem listy przyczyniły się do tego, że „dwóch biurokratów mieszkających w więzieniu”. Zapomniano o tych przyczynach i nowi, młodzi — przewodniczący Rady oraz sekretarz KG odczytali, czywszy „średniaka na uboczu” — zastosowali politykę ostrożności wobec starego. Tak minęła wiosna bez wzajemnych kontaktów. A przecież rzecz w tym, aby aktywność polityczna średniaka znajdowała ujście poprzez Radę, a nie z jej pominięciem. Rzecz w tym, żeby aktywność gospodarza średniaka znajdowała ujście poprzez spółdzielczość, a nie z jej pominięciem. Dla pełnego oświecenia Nowackiego trzeba i o tym powiedzieć: starego nie próbowano przyciągać. Nie doceniono zabiegów, które ogromadzały cennych chłó-

(dokończenie na str. 2)

JERZY MILLER

T O A S T

Witaj Nowy i żegnaj nam Stary Roku miły, urodzajny Roku! Czas dziękować za twoje hojne dary, za natury twej miarę szeroką.

Pogłębiłeś w narodach braterstwo — ucząc ludzi miłości walecznej. Honorowe przymij obywatelstwo rzeczy ludzkiej rosnącej odwiecznie!

Tys torował drogę falom Wólgi, wpływającym w Donu bystre nurty. Byłeś z tymi, co spychali czołgi z mola w morze, z okrętów za burty!

I widziano cię w Moskwie na Zjeździe Komunistów, bijącego brawa. Wiedząc twojej promienistej gwiazdki przydał blask i twe imię wstawia.

Oby w ciebie wdał się twój następca — pięćdziesiąty trzeci rok — z kole! Wiek dwudziesty jak okręt zakreca do Przylądka Spełnionych Nadziei.

I jak zwykle w chwilach przesilenia, gdy czas w nowe przysiraja się miary, jest sposobna para snuć marzenia i przyszłości zgadywać zamiary.

I ku tobie, patrząc — nadchodzący w noc zimową, nieznany Wędrowcze, chciałbym, abyś rokiem był gorącym i najpierwszym wśród lat stachanowcem!

Obyś dał się we znaki fillstrom, lekającym się wysokiej fali.

Nowy Roku, bądź przewodnią iskrą przebudzonych, sprawiedliwych drwali!

Nam nie straszne, by najstroższe trudy, jeno letnia serc temperatura. Chciałbym, abyś przeciwności grudy rozszarpywał w twardych dni pazurach.

Abyś naszą — jak perły zrodzoną z lez i cierpień — Sprawę — poprowadził. Abyś siłę rozbitych atomów w życiodajną energię uładził.

I — gdy spocznieś na stosie annałów przyspanych zapomnienia pyłem, chciałbym cię obdarzyć pochwałą za to tylko, że w tych czasach żyłem.

Lecz dziś — pozwól, wnoszącym toasty, nie ukrywać lez zabitych w oku. I z wybiciem godziny dwunastej, zanim światła nie rozproszą mroku,

niech nam wolno będzie się zasmucić, że jak wicher przelatują lata i w milczącym pomieściu wyrzute pamięć o tych, co zesli z świata.

I gdy z dworu huk strzałów doleci kanonada świątecznych wiatów, pamiętajmy, że w tę noc — gdzieś w świecie ludzie giną od bomb i granatów.

...Nim śnieg zatrze ślady waszych kroków i zasypie kartki kalendarzy — witaj Nowy, żegnaj Stary Roku! — Jeszcze chwila, a noc się przeważa...

295360



295 360

„JEDEN DUCH NARODU POLSKIEGO“

(dokończenie ze str. 1)

pów wokół Rady i partii, stwarzając atmosferę zaufania i podnosząc autorytet partii i władzy ludowej. Od lata na szczęście kontakt się zacieśnił.

*

„Noworoczny“ list Nowackiego jest dokumentem przemian średniackich, wywołanych nie tylko zbliżeniem do Rady i spółdzielców, dokumentem przemian wywołanych „rokiem przełomu“, jak nazwał Bolesław Bierut rok 1952.

Czy duże zasługi przemiany w Nowackim? Niewątpliwie. Znamienne. Można je wytykać, można z nich wyciągać wnioski i dyrektywy.

Pierwsza, jaka się wysuwa na czoło, to rozszerzenie działalności u Nowackiego. Sporządza on bilans gminy w dwóch naraz profilach — indywidualnej i spółdzielczej gospodarki. Więcej, spręża je w jedną całość. To nie błahe zjawisko. Pięć spółdzielni w gminie, to pięć wielkich gospodarstw. Nowacki dostrzega rzecz główną — wielką gospodarkę (zaczynając już od kulaków) przed wojną walcząca z mniejszą i niższą, rujnowała ją i niweczyła. Teraz przeciwnie, pomaga jej, podźwignąć się. Z jaką dumą dobrego rolnika podejmuje stary Nowacki obchód gminy.

- 1) Ugorów nie ma.
- 2) Przechowywanie obornika i stosowanie nawozów sztucznych wszędzie prawidłowe.
- 3) Siew stosujemy tylko rzędowy.
- 4) Przedplony i poplony zaczyna wzrastać, bo zielonik korzystnie dla bydła są jesienią, niezużyte zakiszamy z liści buraczanych (a to się dzieje w krainie łak, nad Wisłą).
- 5) Walka z chwasem i szkodnikami odpowiednia.
- 6) Doktor weterynarii szczepi drob, trutki na szczyry zrobiły swoje.

Zatrzymajmy się. Średniakowi i przed wojną przypinano łatkę: „zakopany w gospodarstwie“. Jest to prawda i nie jest. Należy towarowa to był jego atut. Rył więc w ziemi, ale ucho wystawiał po wiatr. Ostrożny zawsze chciał wiedzieć jaka koniunktura, jaka sytuacja i co się święci. Średniak ludzi się „prawem“, pytał więc o nie i trzymał się go kurczowo, jak relikwii. Nowacki posiada jeszcze przedwojenne kwity podatkowe. Dlaczego nie spalił? Ano macie, dokumenty dzieł średniaka, który był „w porządku“. Zbierając teraz: co się święci, jakie prawo, wobec czego być w porządku — na to wszystko trzeba głowę wychylić poza wieś, toteż średniak orientuje się lepiej lub gorzej ale w ca-

łej gminie. Z takiej wychodzi tradycja.

Przegląd gminy Gruczno, jaki w części zacytowałem, wyraża implet samopoczucie Nowackiego. Dobrze samopoczucie. Wszędzie aż po horyzont gospodarcza rządność, wysoka powszechnie kultura rolna. Taką atmosferą niezamąconego nędze ładu lubi oddychać średniak. To go uspokaja, napawa poczuciem bezpieczeństwa i upatrywcznia.

Ale w tej lustracji gminy, jakże mógł Nowacki nie zauważyć, że gospodarka połowy obszaru to spółdzielcza gospodarka. Jakże mógł sobie nie postawić pytania: — czy to go w pełni odzwierciedla? Czy to go w pełni odzwierciedla? Czy to go w pełni odzwierciedla? Czy to go w pełni odzwierciedla?

*

Kiedy Nowacki referuje mowę posłanki Jarosławskiej sprowadza ją do takiej konkluzji: „Jaka droga będzie kroczyl nowo powołany Rząd? Droga codziennej troski o człowieka pracy“. Oto co przede wszystkim wychwycił średniak. Ale czy to go w pełni odzwierciedla? Oczywiście, że nie. Formuła, póki on indywidualny, wypowie zawsze najostrożniejszą i do tego wyrażającą koncesję na jego rzecz, magiczną formułę ubezpieczenia. A co przyrzeka? „Wypełnić, ile się starczy zadanie Władzy Ludowej“. Chcielibyście pewnie, żeby powiedział wyraźniej, mocniej, stawiając o siebie zadanie, jakie już realizuje połowa gminy Gruczno.

Tak sobie wyobrażali spółdzielcy wynik rozmowy w gospodarstwie na Dożynkach i niesłusznie rozczarowali się do Nowackiego. Jest w liście starego jeszcze pewien uścisł ogólniejszej natury:

„Skoro jeden duch narodu polskiego ukazał się we Froncie Narodowym przy wyborach, to tym bardziej na sali sejmowej skupili się postawie w jednym duchu i myśli i jednogłośnie wybrali na Prezesa Rady Ministrów Bolesława Bierut“.

Ten uścisł ukazuje drugą stronę średniaka. Koniec tu z ostrożnością i ubezpieczeniem zaskorupiałego indywidualizmu. „Jeden duch narodu polskiego“... To więcej, niż „wypełnić zadanie“, to znaczy, czuć się porwany „jednym wspólnym duchem“. Czy rzeczywiście w Nowackim rozwinęła się dynamika, która go przerzuca z toru zapobiegliwości na swoim na tor „wspólnego ducha“ kolektywnej gospodarki?

Analizując język Nowackiego widzimy, że ten średniak celu głównego nie wypowie w słowach, zadania głównego sam przed sobą nie postawi, a jednak jego język już obejmuje „jedno i drugie“. Bo „jeden duch narodu polskiego“ wytworza się w wykonywaniu podstaw

socializmu w naszym kraju. Wytworza go zatem nie tylko rozwój przemysłu, choć chłop oddaje tu dzieci wprost do pracy czy przez szkoły, choć produkuje dla miast, dla klasy robotniczej, choć poprzez zobowiązania wobec państwa partycypuje w rozwoju gigantycznego przemysłu, dźwigni naszych przemian socjalistycznych.

„...zagadnienie zbudowania socjalistycznej gospodarki — mówi Stalin — obejmuje CAŁA gospodarkę narodową, tj. i przemysł i rolnictwo“.

Kiedy więc średniak mówi „Jeden duch narodu polskiego“ — czy ta formuła dowodzi, że pojmuje on zagadnienie właściwego powiązania przemysłu i gospodarki rolnej?

Czy odzwierciedla ona nowy etap w jego praktyce — taki ruch taką dynamikę, które przyspieszają połączenie rolnictwa z przemysłem w jednolitą całość narodowo-gospodarczą?

*

Na te pytania noworoczny list Nowackiego daje odpowiedź.

Po pierwsze — skąd pomysły przegladu gminy? Pod koniec grudnia napłynęła do redakcji fela listów ze wsi. Są one odzewem na wielkie dla wsi polskiej wydarzenie... Bolesław Bierut objął bezpośrednie ster rządów. Oto, co Nowackiego pchnęło do napisania... rzecby się chciało — raportu o stanie gotowości gminy Gruczno do dalszego marszu, który poprowadzić ma bezpośrednio Bolesław Bierut. Zatem, taki czy inny, poderwał się stary Nowacki.

Po drugie — w przegladzie techniki i kultury rolnej gminy stanął przed problemem współdziałania gospodarki spółdzielczej z indywidualną.

Po trzecie — ma nie tylko dobre samopoczucie. Dumny jest, bo gmina Gruczno plan na bekonki wykonała w 102 proc. a na tuczniaki w 113 proc. I tu — kreśląc raport o swojej gminie — jeszcze głębiej jednoczy się ze wsiami

spółdzielczymi, bo one rozstrzygnęły o wykonaniu planu.

Po czwarte — dlatego Nowacki nie donosi tylko o wyczynach indywidualnych rolników. Teraz w rejestr weszły obie gospodarki. Ten pedant od ścisłych wliczeń przestał być głuchy na wyniki spółdzielcze.

„W hodowli bydła przodują w gminie spółdzielnie produkcyjne Kossowo i Niedźwiedź“. A Nowacki dobrze rozumie, co to znaczy dobra hodowla w spółdzielni. Mówi ona o ludziach. To już naprawdę nowa wieś, której nie nie zawróci wstecz.

Nowacki uprzytamnia sobie już proporcje. Produkcja CAŁE wsi spółdzielcze a po drugiej stronie... „wśród indywidualnych rolników zasługuje na uznanie Andrzej Leżański z Chrystkowa. Ma 6 krów i 4 cielaki na gospodarstwie 7 ha 60 arów. Komisja wojewódzka przyznała mu prawo do wychowu zarodowego bydła nizinnej rasy“.

Po piąte — to co najściszej odzwierciedla Nowackiego od spółdzielczości — niewyczerpana jeszcze perspektywa rozwoju gospodarki indywidualnej (pamiętajmy — w szczególności pomyślnych warunkach młodego średniaka). Teraz w jego bilansie znajdujemy zestawienie, które ma samokrytyczną wymowę.

Oto mocny średniak z Parłana „Jan Szczukowski (12 ha) miał zobowiązanie na 408 kg — oddał ponad plan 11 bekonów i jednego tuczniaka — 200 kg. A spółdzielca Władysław Tuślicki (z Kossowa), którego obowiązywało 10 kg, oddał 5 tuczniaków... z 50 arów przyzgodowej działki“.

Po szóste — „z wydaniem dekretu o obowiązkowych dostawach mleka wielu małorolnych kupiło krowy“.

„Są w naszej gminie chłopci, którzy pracują w PGR-ze, komunikacji, cukrowni, budownictwie bez uszczerbku w rolnictwie. Zony ich prowadzą wydajnie gospodarstwo małorolne“.

Co to znaczy? Nowacki widzi nie tylko pomyślność małorolnych, wi-

dzi przede wszystkim ichach w pracy i produkcji, siłoty. Lepiej jeszcze powiedzieć, że ją. To znaczy: że i ten go wspiera, dynamizuje.

Po siódme — raport Nowacki o pełnym zatrudnieniu rolnych i małorolnych w kach województwa, w Bydli i Swieciu — rezerwa siły tej w gminie brak. Mówi o m kształceniu się młodzieży o-wszerechnym czytelnictwie go bibliotecy gminnej, która ma 100 tomów i 760 stałych abonento-czytelnictwie książek rolniczo-gromadach.

Mówi zatem o podniesieniu kultury, bez czego trudno i-pród podstawowej masie-skiej „Filozofem“ jest Nowacki le w obrachunku sam widzi nie brak w gminie mądrych-pów. Być może, że i ten bilans pewnia go w jednoci z ro-bkami, z biedotą i spółdzielcam

*

Nowackiemu została pokazana gminie Gruczno perspektywa spółdzielni produkcyjnej, nie-wczoraj i nie od roku. Fakt jest, że wreszcie ją widzi i za-na w nią przenikać. Pokazali-wiele różnych czynników, które-to w ostatnim roku wpłynęły i-da coraz mocniej wpływać nie-ka ona znowu osobiła. Przy ca-konkretności akcentowaliśmy to, wyraża powszechną prawidłowo-warunków, bodźców i dyrekty-przemian.

Ergo, kiedy średniak... kiedy st-ry Nowacki mówi „jeden duch na-rod polskiego“ ma ten zwrot po-plakowa krótko. Była dumna z krycie, wyraża nową dynamikę-rodniaki, choć Nowacki po dawnemu-owała trochę protekcyjnie tych, przypomina z wyglądu trochę pa-łory zwracali się do niej o ra-stora, a trochę aptekarza z małego-miasteczka.

Jan Aleksander Król

*) Ten obfity i tak cenny ma-teriał listowy wykorzystamy w-pełni w najbliższych numerach.

ANDRZEJ WALICKI

RACHUNEK DOŚWADCZEŃ REWOLUCJONISTY

„P RZYSZŁOŚĆ kryje prze-rzysze możliwości. Któ-re z nich się urzeczywist-ni? (...) Rozczarowanie społeczeństwa i na skut-tek tego rozczarowania nowy liberalizm w nowym guście, po dawnemu płytki, godny pogar-dy, obrzydliwy dla każdego rozum-nego człowieka bez względu na je-go zapatrywania; dla rozumnego radykała równie wstrętny jak dla rozumnego konserwatyści, pustki, plotkarski, tchórzliwy, podły i głupi. I będzie się rozwijał dalej po-dle i tchórzliwie, póki gdzieś w Europie — najprawdopodobniej we Francji — nie wybuchnie burza i nie przeleci przez całą Europę, jak to było w 1848 roku.“

W roku 1830 burza szalała tyl-ko w Niemczech zachodnich: w ro-ku 1848 ogarnęła Wiedeń i Berlin. Sądząc z tego należy przypuszczać, że następnym razem ogarnie Pe-tersburg i Moskwę“.

Słowa powyższe wyjęte zostały z powieści pt. „Prolog“ pióra rosyjs-kiego rewolucyjnego demokraty, M. Czernyszewskiego. Książka wielkie-go rewolucjonisty, demaskująca „po-dłą i tchórzliwą“ demagogię libera-lizmu, zachowała pod wieloma względami do dziś dnia swą poli-tyczną ważkość i aktualność.

Podtytuł „Prologu“ brzmi: „po-wieść z lat sześćdziesiątych“. La-ta sześćdziesiąte ubiegłego wieku to jeden z najbardziej godnych uwagi okresów w historii rosyjskiego ru-chu rewolucyjnego. Kolos na gli-nianych nogach — rosyjski carat w całej pełni obnażył w wojnie krym-skiej swą wojskowo — polityczną i ekonomiczną słabość. Mnoży się i-łość żywiołowych buntów chłop-skich, z niesłychaną dotąd ostrością zarysowującą się przeciwieństwa kla-sowe — jasno zaznacza się w Ro-sji sytuacja rewolucyjna. W cen-trum zarówno legalnej jak nielegal-niej działalności najbardziej pro-dujących ludzi lat 60-tych — rewolucyjnych demokratów staje zagad-nienie zniesienia niewoli pańszczyź-nianej chłopu.

Konieczność oswobodzenia chłopu była jasna również dla klas panu-jących. W obliczu nieustępliwie ko-nieczności historycznej realizującej car-acta osławioną „reformę chłopską“, będącą, wg. słów Lenina, „nędz-nym kompromisem między intere-sami liberałów, a interesami ob-szarników, kompromisem oszukują-cym chłopów mierzem dobrobytu i wolności, w rzeczywistości zaś ru-jnującym chłopów i wydającym im na łaskę i nienadzieję obszarników“ (t. I str. 300). Wedle genialnej cha-rakterystyki Lenina obszarnicy da-żący do oswobodzenia chłopów bez ziemi i liberalistów, proponujący „oddanie“ chłopom części ziemi w zamian za długotną „wykup“ po-cenie określonej przez szlachtę, sta-nowili jedynie dwie frakcje jednej klasy panującej, w równym stopniu stojące na gruncie uznania własno-ści i władzy obszarniczej i w rów-nym stopniu wrogie interesom chłopów. Jednakże, podkreślał Le-nin, „już wtedy byli w Rosji rewolucjoniscy stojący po stronie chlo-pstwa i rozumiejący całą ciastnotę, ca-łe ubóstwo sławetnej „reformy rol-

nej“, cały jej pańszczyźniany cha-rakter. Na czele tych, bardzo nie-licznych wówczas rewolucjonistów stał M. Czernyszewski“.

„Plan partii obszarników“ — pi-sał Czernyszewski w „Prologu“ — „tym tylko różni się od planu po-stępowców (liberałów a. A. W.), że jest prostszy, krótszy. Dlatego też jest lepszy. Chłopi, którzy posiadają pieniądze, wykupią ziemię, tych zaś którzy ich nie mają nie należy do tego zobowiązywać, bo to ich tylko rujnuje. Wykup oznacza to samo co kupno. Prawdę mówiąc, może lepiej będzie, jeśli zostaną o-swobodzeni bez ziemi“.

Wolgin-Czernyszewski występuje w powieści jako przedstawiciel „chłopów, nie rozumiejących nic prócz całkowitej chłopskiej równo-ści i gotowych stać się komuni-stami, gdyż żyją w ustroju spól-noty gminnej“. Głos jego „brzmi jak dysonans w cichym koncercie liberałów rosyjskich“. Protestuje on, przeklina reformę, „życząc jej niepowodzenia, pragnąc, aby rząd zapłacił się w swym lawirowaniu między liberałami a obszarnikami i by nastąpił krach który wypro-wadził Rosję na drogę otwartej walki klas“ (Lenin, t. I s. 301).

Tym też tłumaczy się głoszenie przez Wolgina taktyki wycekiwa-nia na „odpowiednią szansę“, „Szansa“ owa to rewolucyjny na-strój mas ludowych. Czernyszewski pamiętał słowa Radziśczewa, iż ostateczne wyzwolenie ludu będzie związane z samym „cięciem uci-sku“ — z wycuciem genialnego stratega walki rewolucyjnej pre-zydenta on, iż zrealizowana przez rząd reforma będzie nie czym in-nym jak zwiększeniem owego „cię-żaru ucisku“, udoskonaleniem for-my wyzysku, które rozbije patriar-chalny światopogląd chłopstwa, d-rowadzi do masowej pauperyzacji i proletaryzacji ludności wiejskiej, a tym samym niesłychanie przy-bliży „szansę“ zwycięstwa rewolucji. Okres po reformie rozpa-trywał Czernyszewski jako bezpo-sredni „prolog“ do rewolucji — okres walki o reformę to „prolog do prologu“. Tak też nazwał Czernyszewski zakończoną I część swo-jej powieści — dopiero dalsze czę-ści zawierały właściwy „prolog“, nie zdołał ich jednak Czerny-szewski napisać w warunkach ka-tortniczej pracy na Syberii.

Wiele miejsca w swej powieści poświęca Czernyszewski zdemasko-waniu jawnych, bądź ukrytych wrogów ludu. Jawnym wrogiem jest wpływowy obszarnik, odrzą-jący w swym chłamstwie i zarozu-mialstwie, hr. Czaplin, w którym współcześni rozpoznawali M. Mu-rawiewa, zwanego później „wie-szszatnikiem“ za jego osławioną rolę w pogromie powstania polskiego 1863 r. Niemniej odrążają-a jest jednak dwulicowość i obłuda libe-rała Sawielowa. Jako dygnitarz państwowy, pracujący nad przygo-towaniem projektu reformy chlo-pskiej — starając się o względy szlachty obszarniczej zabiega jed-nonocześnie o dobre imię „w Londy-nie“, tj. w wolnej prasie rosyjskiej („Kolołok“) wydawanej w Londynie przez Hercena. Bez-

względny egoista zajęty jest w isto-ryczną własną karierą — dla osiągnięcia własnych celów nie waha się poświęcić czi swojej zo-ny, którą, drogą szantażu, pcha w ręce hr. Czaplina, sądząc, iż uzy-ska w ten sposób jej podpis na opracowanym przez siebie projekcie manifestu do szlachty. Obłudę jego sięga tak daleko, iż nawet sam przed sobą nie porafi się on wy-rzec myśli, iż pracując dla własnej kariery pracuje zarazem dla „sprawy wolności“, którą, wg. jego mniemania, osiągnąć można drogą szeregu intryg w gronie wpływo-nych osobistości. Stosunek auto-rskich do owej, tak typowej postaci zasłepionego „ambicją liberalnego dygnitarza wyrażony jest bezpo-srednio w słowach Wolgina: „Zgi-nie pan przeklinany przez ludzi uczciwych, wysmiewany przez nie-uczciwych. Stanie się tak dlatego, że chce pan być tylko polowicznie nieuczciwy; ludzie całkowicie nieuczciwi korzystają z usług takich głupców, a potem odrzucają ich, okrzykiem zasznużoną hańbą“.

Niebezpieczeństwo ludzi typu Sa-wielowa jest tym większe, iż po-łowiczość ich nieuczciwości wpro-wadza w błąd szczerych demokra-tów o małym doświadczeniu poli-tycznym. Tego rodzaju typem ucz-ciwego demokraty, nie od razu jed-nak umiejącego rozpoznać istotę liberalnej frazeologii, jest w książ-ce polak Sokolowski. Prototypem Sokolowskiego był jeden z najbli-ższych przyjaciół Czernyszewskiego, Zygmunt Sierakowski, w r. 1863 naczelnik powstania polskiego na Zmudzi. Postać Sokolowskiego na-kreślił Czernyszewski z sympatią i wielką serdecznością, pragnąc poka-zać na jego przykładzie w jaki sposób „uczciwi ludzie“ rozczarow-ują się w stosunku do libe-ralnej demagogii. Przywódca rosyjskiej rewolucyjnej demokracji był wielkim przyjacielem Polaków i zasięg jego oddziaływania ideolo-gicznego nie ograniczał się do oso-by Sierakowskiego — ogarnął on nie tylko studiującego w Peters-burgu Jarosława Dąbrowskiego, lecz również produkujących studen-tów Uniwersytetu Warszawskiego. W dniu śmierci Czernyszewskiego przyszli oni na jego grób wieniec żałobny.

Ale nie tylko dokumentalne i hi-storyczne jest znaczenie „Prologu“. Dokonane przez Czernyszewskiego zdemaskowanie obłudnej taktyki li-beralnej frakcji klasy wyzyskiwa-czy oraz obłudnej moralności szla-chocko-burżuazyjnej zachowało swą aktualność. Szczególnie dziś, gdy zresztą burżuazyjni frazes liberal-ny coraz dokładniej odsłania swą „podłą i tchórzliwą“ podszewkę, warto przypomnieć bezlitosną lecz sprawiedliwą charakterystykę libe-rałów i ludzi „połowicznie tylko nieuczciwych“, na jaką z górą już osiemdziesiąt lat temu zdobył się wielki rewolucjonista rosyjski.

Andrzej Walicki

*) Mikołaj Czernyszewski, Prolog, Powieść z lat sześćdziesiątych, „Książka i Wiedza“, Warszawa, 1952.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

NOTES

RACHMISTRZ płacy z ołow-kiem, wetkniętym za ucho, zatrzymał instruktorkę w przejściu między samoprzysniami. — Pani Paulakowa, podajcie, ile wyrobiła wczoraj Stalarkówna. Paulakowa wsunęła rękę do kieszeni drelikowego płaszcza i nie znalazłszy tam notesu, zmarszczyła czoło.

Rachmistrz był człowiekiem nie-cierpliwym i nie zrozumiał, co oznaczało zakłopotanie instruktorki. — Dlaczego pani nie zapisała? Wtedy Paulakowej uderzyły ru-mienie na twarz.

Usiłując przekrzyczeć szum samoprzysn rachmistrz powtórzył wyżejonym głosem: — Dlaczego pani nie zapisała?

Ale i tym razem nie otrzymał odp. wiedzy.

Na wspomnienie tego, co jej się zdarzyło przed czterema miesiąca-mi, Paulakowa, skonsternowana, milczała, jakby jej mowę odeją. Majster salony na średnioprzędnej zapytał ją wówczas tymi samymi słowami: — Dlaczego pani nie za-pisała?

Ale szło wtedy o co innego, a Paulakowa ni. była jeszcze in-struktorką na cienkoprzędnej, tyl-ko zwykłą przadką. Była już jed-nak przewodniczą pracy i przezo-dniczą Rady Kobiet. Pomagaczka z pierwszego piętra, na średnio-przędnej, przybiegła do niej w czasie pracy z prośbą: — Pani Paulakowa, chciałabym oddać dziecko do żłobka. Socialny powiada, że to się da zrobić, tylko trzeba, żeby pani w tej sprawie z nim porozmawiała.

— Zrobi się — oświadczyła Pa-ulakowa krótko. Była dumna z krycie, wyraża nową dynamikę-rodniaki, choć Nowacki po dawnemu-owała trochę protekcyjnie tych, przypomina z wyglądu trochę pa-łory zwracali się do niej o ra-stora, a trochę aptekarza z małego-miasteczka.

— Może pani pojutrze przy-ścisł dzieciaka do żłobka. A jak się pani nazywa?

— Maria Perkuć, na średnio-przędnej. Będzie pani pamiętała? Paulakowa skinęła lekko myślnie

owa. Było to we wtorek na pierwszej nianie. Po robocie, wybierając się do re-enta socjalnego Paulakowa u-ztomniła sobie, że zapomniała zwiska pomagaczki. Brzęcząc w uchu coś w rodzaju perłecz-czy perkalu, ale w żaden spo-sób nie mogła sobie przypomnieć ścisłego brzmienia. Pamiętała to, że było to jakieś dziwne na-sko.

„Koleżanki pocieszały ją, że w ocie tamta kobieta przyjdzie po drugi upomnieć się o żłobek swego dziecka.“

„ymczasem Maria Perkuć w-w-ś wieczorem, po drugiej zmu-ł zjazała do żłobka i zapowie-dla, że przy-iesie im jutro ra-niżeczko.“

A ma pani skierowanie? — zatała pielęgniarka.

To takie porządki?... Z kim ja-te dzieciaka zostawie? — urzas-nie pomagaczka i zabrawa się do-da. — Tyle mnie jutro zobac-ć! —

czwartek rano majster sala-wny średnioprzędnej zanotował w kontrolce nieusprawiedliwioną nieobecność pomagaczki Marii Per-kuć w piątek z polecenia referen-dy dyscypliny pracy nazwisko. Perć zostało wpisane na liście biurowych wywiezionej na sali protekcyjnej

—adnie mnie pani urządziła! — trzwydziona niewiasta przy-bieg z krzykiem do prze-odni-czaj Rady Kobiet. Okazało się, że śladka wyjechała na wieś i Perkiwna nie miała u kogo zo-stawić dziecka — Przez panią je-stem uśmiałka — syczęła ze zło-ści. biurowianka była podobna do pięknej cyganki o śnieżnej cę-rze, łych, czarnych i błyszczą-cych zach i kruczonych ułotach, które wymykały się spod czerw-o-ni j clstki. — Teraz niech się po-ni za mnie tłumaczy.

Obiecioty udały się na pierw-sze piwo do średnioprzędnej. Maj-ster sowy wysłuchał cierpliwie wywo-ów przadki. — A dlaczego pani n zapisała?

Twa Paulakowej okryła się ciemny ru wienem. Majster strzepną z włosów biały kłak ba-welny żrekała. — Kobioto! — zawołał wielkim głosem. — Tu nie ma się tego ustydzic? Trzeba by uczyć! b nie wiecie, że u nas od miesiąca czynne są kursy począt-kowego ucznia?

Ta histor- sprzed czterech mie-sięcy odyła w pamięci Paulako-wej w zięzku z takim samym pu-taniem rachmistrza. Milczała więc, jak gdyby jej mowę odeją na wspomnienie wystudy, jakiego się wtedy nudała.

Ale wreszcie opamiętała się i rzuciła się do okna, gdzie leżał jej note w ektrowej oprawie. — Stalarkówna wyrobiła wczoraj 45 kłó a jej norma wynosi 40 kłó.

— To co około 112 proc. ponad normę?

Rachmistrz zdjął ołówek zza u-cha i ruszył z powrotem do biura. Paulakowa odprawiła go u-ważnym spojrzeniem, póki nie zniknął za maszynami z białym niedopiędem jak za śnieżnymi pa-górkami.

Wtedy ledwie dostrzegalnym ru-chem głasnęła tekturową okładkę notesu, który zawierał bezcenną treść jej cierpliwego wysiłku i sta-nowił chlubny dowód zdobytej wi-dzy.

Władysław Rymkiewicz

JAN SKOTNICKI

AUTOPORTRET

DOBA restauracji pocromwe-lowskiej, okresu, który wydał Samuela Pepysa, to czasy obfi-tujące w ciekawe wydarzenia. Młoda burżuazja angielska, zlikwidowawszy niewygodną dla niej dyktaturę i Protektorat, związała się kompromi-sem z arystokracją. Kompromis ten zapewniał jej spokój po okresie re-wolucji Cromwelowskiej oraz za-bezpieczenie przed radykalizmem mas ludowych, który tak jawnie dał się odczuć podczas wypadków rewolucyjnych. Lata 1660 — 1668, opisane przez Samuela Pepysa, to właśnie czasy restauracji i wzrostu sił burżuazji.

Nie wiemy, jaki cel przyświecał panu Samuelowi Pepys przy spisy-waniu kolei swego życia. Nie spo-dziewał się on zapewne rozgłosu, jaki zapewniły mu w przyszłości, skoro pisał je sztywnym. W wyniku jednak — na kartkach swego pa-miętnika Pepys przekazał w wki-woy, szeroki i mistycznie cieka-wy obraz współczesnej mu epoki; bez względu na intencje stał się wyrazicielem ideologii młodego mieszczaństwa angielskiego, sie-gającego po prymat w państwie.

Samuel Pepy był człowiekiem skromnego pochodzenia; jego ka-riera to kariera arystysty wynie-sionego na fali wielkich przemian. Autor „Dziennika“ dobił się wy-sokiej pozycji w ówczesnym świe-cie już w młodości, zostając sekre-tarzem Tajnej Rady Królów: kie-ry oraz piastując inne odpowiedzialne funkcje państwowe. Wrodzona in-teligencja Pepysa, chłonny umysł, sprzyjający okres historyczny, po-stępowa burżuazja powodują, że londyński mieszczański interesuje się całokształtem życia ówczesnej An-glii, ba, nawet całego świata. Nie ma dziedzin wiedzy czy dziedziny życia kulturalnego, któ-ra nie pasjonowałaby Pepysa, której nie starałby się on po-znać i zgłębić. Jest on wielobielem teatru, zna się doskonale na mu-zyce, interesuje się żywym ruchem wydawniczym, zapatrując swą bi-bliotekę w książki ze wszystkich dziedzin wiedzy. Nie zaniedbuje również kształcenia zawodowego, co przy jego niezmiernie pracowitości daje doskonałe rezultaty. Te czyn-niki, w połączeniu z szerokim umysłem autora „Dziennika“, czynią go zdolnym do przenikliwej oceny

MIESZCZANINA

zjawisk otaczającego go życia, zdolnym do krytycznego spojrzenia na bieg spraw państwowych. Dla-tego notatki roją się od ubolewań nad upadkiem gospodarki, n d z-ściem dworu królewskiego, nad głupotą i sprzedajnością arystokra-cji. Pepys jest patriotą i nie jest mu obojętny bieg spraw jego pań-stwa, nie też dziwnego, że sytuacja w Anglii nastroża mu wiele uwag krytycznych. Przez te kartki „Dziennika“ przemawia do nas o-braz życia rodzinnego, życia towa-rzyskiego, życia politycznego i dworskiego w prawdziwych, reali-tycznych barwach. Są to te ele-menty, na które nie stać być je-szcze literatury pięknej tego okre-su. To właśnie czyni z „Dziennika“ tak wartościową lekturę.

Oczywiście „Dziennik“ nie zataił również i ujemnych cech charak-teru swego autora. Można wyobra-zić sobie reakcję pana Samuela, gdyby za jego życia ktoś powie-dział mu o tym, iż jego wszystkie tajemne sprawy, schadzki, tumanie uroczyste składanych przysięg wyjdą na jaw i to wydrukowane w tysiącach egzemplarzy. Nie trzeba nadmienian, że wad mił pan Sa-muel nie mało. Warto przypatrzeć się szczególnie beztroskiemu prze-jściu z obozu republikańskiego do obozu rojalistów, warto posłuchać tego, co Pepys mówi o źródłach swych dochodów.

Wszecstronne wykształcenie Sa-muela Pepysa i jego niewatpliwie zdolności przyczyniły się do tego, że „Dziennik“ traktować należy również jako wybitne dzieło lite-rackie. Osobne słowa uznania na-leżą się doskonałemu „rzekładowi Marii Dąbrowskiej. Podkreślić na-leży szczególnie umiejętność święt-nej archaizacji oraz doskonałego u-trzymania jednolitości stylu i ję-zyka przez cały ciąg tłumaczenia. Można śmiało powiedzieć, że to dzięki tłumaczce Samuel Pepys sta-je nam się tak bliski i zrozumiały.

Pierwsze polskie wydanie „Dzie-nnika“ Samuela Pepysa jest ogrom-nie cenną pozycją, stanowiącą po-ważny wkład do biblioteki społ-zeczonych utworów angielskich. Mo-żna mieć pewność, że Sameul Pe-pys zaurze z polskim czytelnikiem szczerą i długotrwałą przyjaźń.

Jan Skotnicki

JERZY K. MACIEJEWSKI

LUBOSZYCE PLANUJĄ ZASIEWY

Z APADAŁ już wczesny, grudniowy mrok. Na małej stacyjce kolejowej spółdzielcy z Luboszyce pośpiesznie kończyli ładowanie buraków cukrowych. Mężczyzna w skórzanej czapce, jaką noszą motocykliści to Aleksy Kowalczyk, pierwszy przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Luboszycach, założonej w czerwcu 1949 r. Obecnie księgowy.

— Wyrzucili mnie — przyznał pogodnie. — Byli zdania, że jestem za mało energiczny.

Posłaliśmy ku niedalekim świątłom Luboszyce. Kowalczyk po drodze opowiadał. Od chwili założenia przybyło im 5 członków, tak że spółdzielnia liczy obecnie 25. Do 320 ha, na jakich gospodarują, wydzielili 50 ha łąk na międzywałę nad Odrą. Sieją dużo pszenicy, bo ziemia, suche mady, sprzyja temu. Ilość koni z 6 zwiększyła się do 17. Chlewnia znacznie jest rozbudowana. Świn mają 86, odstawili już 37, pozostało do odstawienia 12. Krowy było 5, teraz jest samych dojnych 31. Plan odstawy zboża spółdzielnia wykonała w 130 proc., ziemniaków — w 300 proc. trzody chlewnej — w 200 proc. Poza tym członkowie spółdzielni z działek przyzagrodowych oddali w trzódzie chlewnej około 350 proc. przypadającej na nich normy, w mleku 125 proc. Oddaliby nawet więcej, gdyby nie panująca przyszcza.

Elektryczność jest już założona w obu bazach spółdzielni. Czynny jest wodociąg, wykonane remonty budynków gospodarczych. Buraki cukrowe i hodowla to dwie najbardziej dochodowe pozycje gospodarki spółdzielni. Poza tym mają 64 ule i w roku 1953 planują doprowadzenie ich do stu.

Spółdzielnia Luboszyce stoi — jak zresztą bardzo wiele innych — przed dwoma problemami: dyscypliny pracy i w ogóle braku rąk do pracy w polu. Pomijając ludzi na stałych funkcjach, którym dniówka „leci” nieprzerwanie, są tacy, którzy uczucie pojmują cięższe na nich obowiązki, jak np. Aleksander Grablewski, mający na swym koncie do końca października 258 dniówek obrachunkowych, czy też Józef Kowalczyk z 268 dniówkami, ale są i tacy, jak Jan Brzuszek, który tych dniówek ma zaledwie 51.

Kwestia młodzieży jest palącą. — Na wiosnę r. 1950 — powiada

księgowy — zakontraktowaliśmy 15 ha buraków cukrowych, teraz jednak nie możemy podjąć się uprawy więcej, aniżeli 10 ha. Bo... — i tu wylicza się na palcach — do samego POM odeszło 5 chłopów, a z dziewcząt dwie Górówny, jedna od Gieruli, jedna od Kalickich. Ale i ci nieliczni, którzy jeszcze pozostali noszą się z zamiarem odejścia. Dlaczego — nie zdążyłem zbadać i sprawa jest poważna. Spółdzielnia stoi na starzych.

Nie było więc łatwo w okresie żniw zmobilizować do roboty w polu 40 czy

sze, a tak np. zawiadła konieczna, której nasiona b. dobrze plać.

Nasza spółdzielnia — sumuje swą wypowiedź księgowy — ponieważ powstała bardzo wcześnie, była do pewnego stopnia królikiem doświadczalnym. Uczyliśmy się na jej błędach my, uczyli się inni. Na przykład w początkach nabraliśmy kredytów, kupiliśmy krowy, a krow nie było gdzie postawić. Dziś o tych rzeczach wspominamy z uśmiechem.

W dużym, jasno oświetlonym pokoju, zajmowanym na piętze domu przewodniczącego przez biuro spół-

trawopolnym Williamsa. Ale tylko w spółdzielniach zaawansowanych, w których ponad 80 proc. gruntów jest zrzeszonych. Wyższość tego systemu polega na tym, że poprawia strukturę gleby przez wprowadzenie do niej większej ilości próchnicy. Przez trzy objęte planem lata spółdzielnia musi tak rozłożyć przejścia siewne, aby w r. 1955 przystąpić do normalnego płodozmianu trawopolnego. Oczywiście pracę naszą wykonujemy w najściślejszym porozumieniu z zarządem spółdzielni.

Zaczyna się debata. Operują „polami”: pierwsze, drugie, piąte, siódme. A każde pole — co najmniej kilkanaście ha. Nie przeszkadzają granice ani między. Znikły. Jest ogólny obszar uprawny.

Ołówkę agronoma sunie po planie: droga przeskadza. Zlikwidować drogę?

— Nie — przeczy przewodniczący — ta droga jest potrzebna.

Ale młodzi agronomowie, jak widzę, są świetnie zorientowani w sprawach spółdzielni. Zastanawiają się obecni nad rozbiorem na pola arealu uprawnego i zrazu nie wychodzi im. Przewodniczący mówi:

— Kiedy był tutaj ten agronom w żółtych cholewkach i rozplanował, to każde pole wyszło mu po 27 ha.

— Mniejsze pole jest lepsze — robi uwagę księgowy.

— Nie zasieiecie 27 ha burakami? — pyta Zdanowicz.

Obaj, przewodniczący i Kowalczyk, podnoszą szybko głowy znad planu, jakby dla stwierdzenia, czy nie żartuje.

A kto je obrobi?

Nie, ten podział nie wychodzi. To sztuka — zaplanować uprawy na 230 hektarach.

— Więc cóż, to pole pozostawiam na czarny ugor?

— Nie, w naszych warunkach nie możemy sobie pozwolić na czarny ugor.

W takim razie posieiecie rzepak — proponuje Kilar. — A przy rzepaku — proponuje Kilar. — A przy rzepaku — proponuje Kilar.

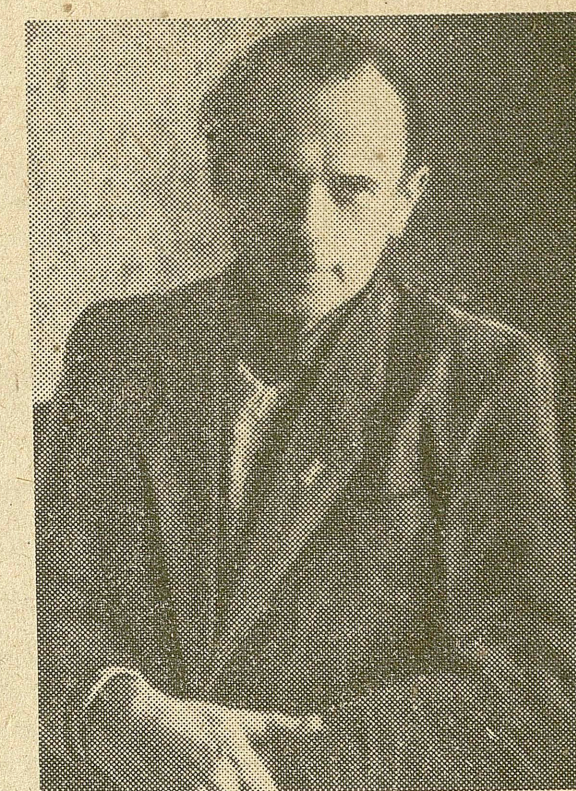
— Była już — robi uwagę Kowalczyk. — Może jęczmień ozimy?

Jęczmień ozimy dojrzewa z rzepakiem i razem się zbiera. A wiecie, jak jest z rzepakiem. Dziś dojrzewa — jutro sypie.

— No dobrze — nalega Kilar — a len, a konopie?

Gdzie nam do lnu — oponuje Kowalczyk. — To roślina pracochłonna. Kto będzie przy tym robił?

We wsi spółdzielczej



J. K. Maciejewski

BOLESŁAW LESMAN

I W KONTREWERSIE — PRZEŁOM

AS, w którym spotkałem Bystronkiego ciągnie się na dużej przestrzeni. Z Kontrewersu, wsi gdzie jest sołtysem, można tym lasem dojść do Łucmierz i szosy zgierskiej, lub w drugą stronę do Grot-nik.

Na lichej grunty pod lasem leży Kontrewers i sąsiednia wieś Jedlicze. — Nie wiadomo gdzie kończy się tu piasek, a zaczyna błoto — skarży się chłop.

Skargi chłopów potwierdza urzędowa opinia. Wszystkie grunty 5 i 6 klasy.

Toteż na roli pracują przeważnie kobiety, a mężczyźni dorabiają w zgierskich fabrykach. Bo nawet z trzech hektarów rodzina tutaj nie wyżyje. I Bystronki na swoich 7 hektarach dobrze robi bokami...



Bystronki Stefan — sołtyś.

Spędziłem z Bystronkim niemal cały dzień. Przed południem rąbał drzewo w lesie. Po obiedzie poszedłem z nim oprzątać bydło. Z udaną skromnością pokazywał mi swą inwentarz.

W oborze było trochę ciasno. Ładny, choć nieduży konik, stał zgodnie obok trzech krow. W zagrodzie kacie spoczywały trzy dobrze już podchowane tuczniki. W drugim kącie dwa warchaki.

Bystronki wypędził krowy z obory. Szły rzadkiem, wąską ścieżką po łące, w dół, na skraj lasu, gdzie przepływał wąty strumyczek. Po-dążaliśmy w ślad za ostatnią krową, która rozdała w ostatnich tygodniach cięży, niegrzecznie potykając się po zmarłej grudzie kołysząc lekko swym wielkim brzuchem.

Dobre bydło — pochwalił ją Bystronki. — 18 litrów mleka daje dzień w dzień. Podchowam tego cielaka, będzie podjecha...

— A i te niegrzysze — wtrąciłem nie bardzo pewny swego znanstwa. — Pewnie — rozproszył Bystronki moje obawy. — W całej wsi drugich takich nie znajdzie. Może tylko u Różyckiej, ale bym się z nią nie zamienił. Moje więcej mleczne, chociaż na wygląd jest takie same...

— A jak z paszą?

Bystronki nie od razu odpowiedział. Byliśmy już przy strumyczku.

Kawałkiem drzewa skruszył cienką warstewkę lodu.

— To do Szczecina aż po siano jeździć?

— Już drugi raz na sianośkach byłem. W zeszły rok jechałem sam. Kiedy sobie bydlęta na tym siano odkarmiłem to zaraz innym zaś się zrobiło, że ze mną nie pojechali, chociaż namawiałem. W tym roku było nas już dziewięciu.

— A w przyszłym roku?

— Tak dalej nie poradz. Wielu już rozmuchało hodowlę, przybyło krow, a łąki na drugim końcu świata. A jak się tam cały kraj po siano zleci, to może być za ciasno i kto bliżej ten zapie. A jak popadnie susza? Przy takim rozma-chu trzeba mieć własne siano, dzikie łąki zjednoczyć, odwozić mokrą. Spółdzielnia produkcyjna tu potrzebna...

I tak się, nieco może dziwnie złożyło, że właśnie Bystronki, najlepiej sytuowany gospodarz we wsi, był inicjatorem spółdzielni produkcyjnej. Tak mu dyktował rozsadek, nie widział innej przyszłości dla rodzinnej wsi.

Bystronkiego znano i szanowano w całej okolicy. Jeszcze nikomu ziej rady nie dał, a wiadomo było, że jak zapowiada coś ciekawego to warto przyjść.

Na zebraniu wystąpił z projektem założenia spółdzielni pierwszego typu — „Zrzeszenia Uprawy Ziemi”.

Projekt podobał się wszystkim.

Przyjeździe agronom, fachowiec — wyjaśnił Zaczek (sekretarz KG) — i zbada wasze grunty, jakie nowoży trzeba zastosować i ile, a spółdzielnia mają pierwszeństwo w rozdanie nawozów. Maszyny z POM-u dostaniecie za bardzo niską opłatą. Państwo da wam kredyty na inwentarz, na osuszenie podmokłych gruntów, na hodowlę. Łżej, dużo łżej wam będzie.

Chłopi byli zachwyceni perspektywami dostatków jak mogą sobie wywalczyć w spółdzielni. — Zastanawiali się nawet — opowiadał Bystronki — jakie korzyści dałyby plug dwusobowy i ile takich plugów mogłaby spółdzielnia zakupić. Mówili o osuszeniu gruntów, wtedy kawałkami dałoby się i buraki posadzić, no i lepiej by można wszystko traktorem uprawiać, bo w takich bagnach jak teraz maszyna ugrzęźnie.

Zebranie skończyło się jak najlepiej.

Ale już nazajutrz, gdy przyszło do podpisywania statutu, chłopcy zaczęli się wycofywać. Nawet ci co najwięcej gardłowali za spółdzielnię. Podpisali tylko Bystronki, Kaczmarek i Walczak.

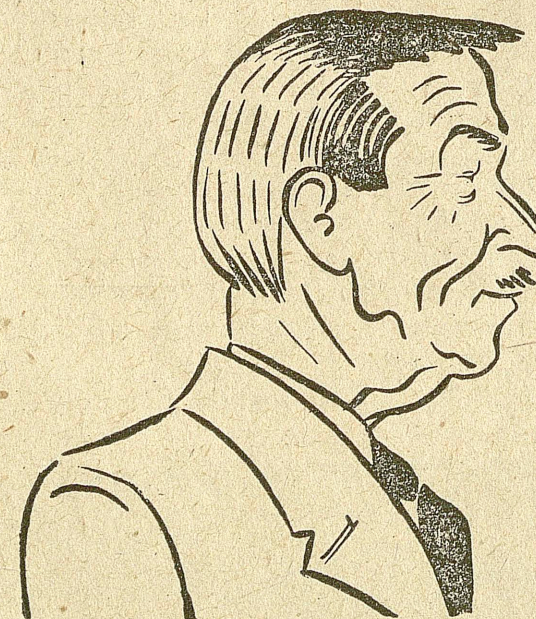
Od tego czasu upłynął miesiąc. Bystronki powoli tracił zapal, aż wreszcie zupełnie się zniechęcił. Był już wieczór kiedy obsiedliśmy mały żelazny piecyk.

— Tak to, chciało się jak najlepiej zrobić dla całej wsi i nic z tego.

— To co, uważacie, że u was spółdzielnia nie będzie?

Sołtyś machnął ręką.

— Siła nikt nikomu rozum do głowy nie wtłoczy. Co ja się nachodziłem. Tłumaczyłem tak i owak. Mówią, że nie ma co się spieszyć, że wolą poczekać. Niech czekają, niech się męczą. Ja jeszcze sobie z rok, dwa, dam radę. Na swoich płaskich 10 metrów żyta z hektara zebrałem, ale są we wsi tacy, u których kłos kłosek urodził. Równy ty le zebrałi co zasieli. Taka Olszówka na 16 ha biedę kłepie. W Szczecińskie przecie po siano nie pojedzie. Jedna marna krowa i dwa świniaki — co z tego ma? Więcej na swoich piaszczach nie może utrzymać. Szkoda tam nawet ziarna rzucić, bo nie wiadomo czy wyrosnie. A żeby dobrze nawieźć, głębiej zaozać to by trzeba...



Kasprzak Józef

było pastwisko dla całej wsi, a można by też trochę żyta posiać. Ja wytrzymam, a ich wszystkich bieda lepiej przycisnie i to rozum do głowy przedzie przyjdzie.

Przecież niektórzy sianożarze, przy dobrej koniunkturze, zaczęli handlować trawą, uzależniając innych, będzie wyższ jak złoty!

Leon Pawlak, robotnik Konstantynowskich Zakładów Przemysłu Welnianego i Konstanty Czaja, ślusarz z sanatorium w Tuszynie, agitatorzy przysłani przez Komitet Powiatowy PZPR od tygodnia już siedzieli w Kontrewersie. Mimo solidnych przymrozków spalili w stodole, i rzeczywiście nie dawali chłopom spokoju.

Co dzień w innym gospodarstwie, co dzień szczegółowo na ten sam temat toczyły się długie rozmowy w jesienne wieczory. Trzeba było przełamać nieufność chłopów i walczyć z plotką.

Na 19 gromad w gminie Brużyc Wielka 8 — to już spółdzielnie produkcyjne. Kontrewers byłby dziewiątą. Za Kontrewersem poszłyby dwie spółdzielnie, w najbardziej części gminy, ale założone na własność z działa prądziada mogłyby wywołać przełom w całej gminie.

Z 24 gospodarstw Kontrewersu pojechało na wycieczkę 17 chłopów, w tym dwie kobiety. Niemato pracy poświęcił Czaja i Pawlak, żeby zapewnić taką frekwencję.

— No i co z tymi ludźmi zrobić?

— uzał się Bystronki. — Widzicie na własne oczy, pytali o wszystko. Podobało im się, widzieliście sami. Aż im się oczy śmiały... A teraz nie i nie... No i jak im do rozumu przemówić, jak ich przekonać?

A niech ich tam... Cholera — ulżyła sobie Różycka. — Powiem wam sołtyś... Przyszedłem. Czekam, że jakie chłopcy podpiszą, to ja też. Ale nie chcą, to diabeł z nimi tańców. Dajcie statuty, ja podpiszę. 6 hektarów mam... Nie wiele moja gospodarka brzydsza od waszej.

Po Różyckiej podpisała Jadwiga Dziegcińska. Był u niej dwukrotnie Szczepaniak z Bystronkiem, który teraz krok w krok chodził z instruktorem, ale nie tyle oni ją przekonali co Kaczmarek, której mąż jako jeden z pierwszych podpisał statut spółdzielni.

Różycka z kolei przekonała drugą wdowę, która mimo dużego gospodarstwa nie mogła nigdy związać końca z końcem. Podpisał też syn Dziegcińskiej, Henryk, i zaraz po nim Maria Stegłńska. W ciągu kilku dni było już więc 8 gospodarzy zdecydowanych założyć spółdzielnię.

W tym czasie Szczepaniak nie opuszczał Kontrewersu. Czuło się wyraźnie, że wycieczka do Wilkowie zmieniła nastrój wsi, chociaż pierwsze zebranie nie dało zbyt wielkich rezultatów. Szczepaniak z Bystronkiem postanowili zwołać następne zebranie na poniedziałek 8 grudnia. Mieli nadzieję, że na zebraniu uda się zaagitować jeszcze 4 gospodarzy brakujących do zawiązania spółdzielni. Chodzili więc od chałupy do chałupy i na nowo, od początku, wyjaśniali, tłumaczyli, namawiali...

W szkole, gdzie zeszli się chłopcy z Kontrewersu, a przyszło też kilka osób z Jedlicza, utworzyli się dwa obozy. Z jednej strony usiedli ci, co już podpisali statuty, z drugiej stoczyła się reszta. Szczepaniak widząc, że ogólna dyskusja nie daje rezultatu, zwrócił się bezpośrednio do Kasprzaka:

— No, a wy dlaczego nie chcecie podpisać?

Kasprzak podrapał się za uchem i zaczął tłumaczyć trochę niepewnym głosem.

— Ja to bym był za spółdzielnię. Pierwszy chciałem się zapisać, ale charakter mam słaby. Jak mi zaczęli mówić to i tamto, odmawiać, to sam nie wiem co zrobić. Bo mówią...

— Powiedziecie lepiej ile macie ziemi?

— 9 hektarów. Nawet nie najlepiej... Wszyscy wiedzą... — rozejrział się po sali szukając potwierdzenia.

Bolesław Lesman
Rys. NYGA

LESŁAW BARTELSKI

Wczoraj pustynia, dziś...

LEKROĆ zadawałem pytanie, kto czyta najwięcej, odpowiedź brzmiała identycznie, niezależnie od rejonu — młodzież w wieku szkolnym! Województwo koszański nie stanowi pod tym względem wyjątku. Biorąc i tu młodzież stanowi podstawową masę czytelników. Trzy czwarte czytelników rekrutuje się spośród jej szeregów. Z jednej strony jest to przejaw najzupełniej pożądanego, z drugiej...? Z drugiej strony trwa walka, aby tę proporcję nieco zmienić. Aby przesuwać procent czytelników w kierunku ludzi starszych. Walkę tę podjęli bibliotekarze województwa koszańskiego, dzieląc się swymi doświadczeniami na zjeździe w Sławnie, odbytym w dn. 20.XII.52 r.

Sławno jest niewielkim miastem powiatowym Pomorza Zachodniego, napoty zburzoną, ale posiada idealne warunki dla krzewienia życia kulturalnego, a mianowicie dwie uspaniałotworyłe sale — Domu Kultury oraz miejscowego kina. Tych obiektów napewno pozazdrościłoby Sławno niejedno miasteczko środkowej Polski. Jedną i drugą salą nadaje się w zupełności na występy teatru nie tylko amatorskiego, lecz i zawodowego. Lecz trudność w tym, że województwo koszańskie takiego teatru nie posiada. Dopóki ziemie te podlegały administracji Sześciennow, dopóty od czasu do czasu pojawiały się w większych miastach Pomorza afisze oznajmujące przybycie teatru szcześcińskiego. Jeszcze w ubiegłym roku deszcz obmywał stołce wysuszone ogłoszenia o „Moralności pani Dulskiej”, komedii drobnomieszczańskiej Gabrieli Zapolskiej. Ale od czasu usamodzielnienia się Koszalina sprawa teatru stanęła na marowym punkcie. Stolica województwa jest miastem zniszczonym, nie posiada odpowiednich mieszkań dla aktorów, więc zespołowi teatru w Gnieźnie zaprowałowano wille w Mielenie, miejscowości nadmorskiej, położonej o 12 km na północ od miasta. Sprzeciwili się temu kompetentne czynniki (Centralny Zarząd) i sprawa pozostaje w zawieszaniu. A mieszkańcy województwa czekają. Jeszcze parę lat temu wstąpiła tu pustynia kulturalna. Pierwszą bibliotekę sami dwigali niewielkie paczki książek, jakie dostali ze Szczecina. Dziś na tym terenie mamy 900 punktów bibliotecznych, 121 bibliotek gminnych, 12 powiatowych, 33 miejskie oraz 1 bibliotekę wojewódzką z siedzibą w Białogardzie. Liczba tomów osiągnęła cyfrę 547 tys., co stanowi mniej więcej 1 książkę na jednego mieszkańca. Zrobiono więc w tym zakresie wiele, zdobyto czytelników, choć dalsza walka o poszerzenie frontu i kręgu czytelniczego trwa. Czyta młodzież, to prawda, ale próby namówienia starszych do lektury nie pozostają bez echa. Wciąż jednak razi dysproporcja między czytelnictwem na wsi i w mieście, na wsi czyta się o wiele mniej.

Te wszystkie zagadnienia, jakie wzięj wymieniliśmy są charakterystyczne nie tylko dla tego województwa, stanowią bowiem przekrój sytuacji bibliotecznej w całej Polsce, z tym, abyśmy nie zapominali o pewnych właściwościach rejonowych. Niemniej jednak — sprawy podobne. Czym więc zajmują się przede wszystkim bibliotekarze Ziemi Koszańskiej? Na czym polega ich praca, trudności i osiągnięcia? Jakże opory muszą przełamywać, aby ich obowiązki były wypełnione ku zadowoleniu wszystkich — i władz i czytelników i wreszcie ich samych?

Większość bibliotekarzy to ochotnicy, po prostu ci, dla których książka stanowi cały świat. Ich zapal jest zapalem pilnych czytelników, ale — powiedzmy to sobie bez osłonek — brak im fachowego doświadczenia. Podstawowym błędem, który jeszcze długo będzie pokutował wśród naszych kadr bibliotecznych, jest nieznanostwo literatury. Ich miłość do książki nie zastąpi im wiedzy, wielu zdaje sobie z tego sprawę, lecz wielu jeszcze sądzi, że praca jego kończy się na wypożyczaniu, nieomal mechanicznym wręczaniu z parą słowami zachęty. Przyjęty niesłuchanie życzenia przez kolegów Antonia Gaudzika, że Starej Lubianki, pow. Wałcz opowiadał, jak on w czasie akcji wyborczej zachęcał do czytania. Na zebraniu Komitetu Frontu Narodowego przeczytał fragment o dziadku Szczepaku z „Zoranego ugoru” Szołchowa. Naza jutrz sami słuchacze zgłaszali się z prośbą o książkę. Młody, spokojny chłopak, zwany przez swych sąsiadów i ich dzieci „wujkiem Wieża” (niewiele mu bowiem brakowało do dwóch metrów wzrostu), opiera się w swej pracy na organizacjach społecznych i ich działaczach. Pomaga mu Samopomoc, pomaga i Partia. Ale Gaudzik dopiero swoim wysiłkiem zmusił ludzi do uznania swego stanowiska w gromadzie. Był okres, kiedy chcieli go zapędzić do pracy przy wydawaniu bonów tuszczowych, Rada Gminna wychodziła bowiem z założenia, że praca bibliotekarza jest niżej i poza nią można mu jeszcze wiele czynności dotożyć. Ale swym postępowaniem, agitacją na rzecz czytelnictwa „wujek Wieża” osiągnął to, o co walczyli jeszcze ogół bibliotekarzy — uznano go za społecznie niezbędne. W jego gminie było początkowo więcej bibliotek, bo i GS miał ambicję posiadania własnego księgozbioru. Wyasygnowano 3 000 zł, „Dom Książki” przysłał co miało najgorzej, ale mieszczańskiego się w ramach tej su-

my, nikt nie czytał, wreszcie ten księgozbiór, w którym było wiele kalendarzy rolniczych, dostał się pod opiekę Gaudzika. Działacz GS do- szli bowiem do przekonania, że tak będzie najlepiej. „Wujek Wieża” albo sam dociera do swych czytelników, albo korzysta z grzeszności, dzieci, które czują się niezwykle zaszczycone funkcją księgonosza. „Tylko pamiętaj, jak nie przeczytał, to powieści nie odbieraj” — poucza bibliotekarz takiego posłańca. Popularność jego osoby jest najlepszym dowodem, że praca bibliotekarza należy do postawiona nie idzie na marne i spełnia wielką rolę w społeczeństwie.

Nie jeden bowiem bibliotekarz, gdyby mu powiedzied, że jest działaczem politycznym, nie zdziwiłby się zapewne. Tymczasem fakty, mające miejsce na terenie woj. koszańskiego (i gdzieindziej) wyraźnie o tym mówią. W okresie popularyzacji Konstytucji oraz akcji wyborczej liczba czytelników wzrosła. O czym to świadczy? Zarówno o wzrastającej świadomości politycznej czytelników jak i o właściwej działalności społecznej bibliotekarzy. Docieranie do gromad, gdzie są spółdzielnie produkcyjne, opieka nad tymi punktami czytelnictwa, propagowanie książki fachowej — oto zadania bibliotekarzy na szczeblu gminnym, i nie tylko gminnym. Także powiatowym. Czytelnictwo w spółdzielniach produkcyjnych w 1952 r. nie było zadowalające. Część bibliotekarzy powiatowych i gminnych przystąpiła do reorganizacji tych punktów, zainteresowała się nimi i skutki tego nie dają na siebie długo czekać — liczba czytelników wzrosła. To zamykanie się w czterech murach biblioteki — jak po- wiedział na konferencji w Sławnie „Aleksander Majorek, dyrektor Biblioteki Wojewódzkiej — stanowi jedną z przyczyn wadliwego działania bibliotek w terenie i przeszkodę w należytej pracy. I dlatego za przodowników spośród bibliotekarzy uznano tych przede wszystkim, którzy ten sztuczny mur obalili. Brak opieki nad „punkciarzami”, niekontrolowanie ich pracy, nieinstruowanie ich — oto dalsze „grzechy główne” bibliotekarzy gminnych województwa.

Dodajmy jeszcze jedno. Z głosów, jakie padły na tej konferencji wynikała wielka żarliwość i zapal w walce o czytelnictwo. Dla bibliotekarzy jest to nie tylko kwestia ambicji zawodowej, ale i — wielokrotnie — cel życia. Nie ułatwia tego płynność kadr, lekceważenie fachowości na rzecz żywotności, nieznanostwo literatury współczesnej, brak zainteresowania się zagadnieniami kultury ze strony czynników kompetentnych (Rady Narodowe) i wiele innych spraw, o którychby się długo mówiło i zawile. Ograniczmy się więc jednak do stwierdzenia, że z porównania osiągnięć i niedomogów, przewaga tych pierwszych jest aż nadto widoczna, by nas wszystkich to nie cieszyło. Rozumiemy, że dokonali się przełomy, ale trzeba pilnie bacznie, by przełomy te pogłębiały się nadal i to w sposób wyraźnie określony. Zadania, jakie postawili przed sobą na rok 1953 bibliotekarze Ziemi Koszańskiej stanowią ważnym czynnikiem przełomu, o ile oczywiście będą należyte uwzględniane. A więc objęcie punktami bibliotecznymi całego województwa (dotychczas ogarnięto 90 proc. terenu). A więc uzyskanie cyfr 20 proc. czytelników spośród mieszkańców, w tym 50 proc. dorosłych (dotychczas 12,4 proc., przy czym średnia statystyczna dla całego państwa wynosi 8 proc.). A więc upłynięcie księgozbiorów i usunięcie „martwych dusz” czytelników na rzecz faktycznych. Zadania ambitne i nielatywne, ale cóż jest łatwego w walce o przekształcenie człowieka?

Rok 1953 przyniesie dalsze zmiany w strukturze kulturalnej województwa koszańskiego. Powstanie lub już powstało 56 wzorcowych świetlic gminnych, powstaną Rady Książki i Czytelnictwa na wszystkich szczeblach (wojewódzkim, powiatowym i gminnym), tym samym zwiększą się obowiązki bibliotekarzy. Jako bardziej doświadczeni w pracy społeczno-kulturalnej będą musieli przyszyć z pomocą tym nowopowstałym placówkom. Ale o ileż zwiększy się znaczenie pracy bibliotekarzy! Przyrost aktywności kulturalnej wiąże się z uprawianiem przez tych, którzy nad tym pracują, ale jednocześnie jest dowodem na wzrastającą socjalizację wsi. Podnoszenie poziomu bytowego musi bowiem w swych konsekwencjach przynieść wzrost zainteresowania się kulturą. Nie więc dziwnego, że Koszalin martwi się o biblioteki, i o świetlice i o teatr, który tak bardzo potrzebny jest na tamtym terenie. Sale miasteczek powiatowych czekają na ten zespół tak jak na książkę czeka mieszkaniowiec wsi koszańskiej.

Lesław Bartelski

ALEKSANDER MAJOREK

Z KSIĄŻKĄ NA WIEŚ KOSZAŃSKĄ

(Z referatu na woj. konferencji bibliotekarzy)

gminne a gromadami w których są punkty biblioteczne. Wiele bibliotek gminnych szczyt się pokazała liczbą czytelników, która sięga nie- rzadko 30—40 proc. ogółu, a nato- miast w pozostałych gromadach, w punktach bibliotecznych czytelnictwo zaledwie wegetuje.

Analiza czytelnictwa za rok 1951 wykazuje, że w 121 bibliotekach gminnych było czytelników 19 tys. a w 760 punktach zaledwie 21.600 czytelników, czyli że w punktach czyta sześć razy mniej czytelników aniżeli w gromadzie, gdzie znajdu-

tamtejszej gminy jest najwięcej czytelników i wypożyczeń w całym powiecie Złotów. Przeciętnie w każdym punkcie jest po 47 czytelników. Braciejska w miesiącu pogłębiecia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej podwyższyła o 3 proc. stan czytelników w swojej gminie w stosunku do ilości mieszkańców gminy, to jest zdobywając 65 nowych czytelników, z tego 63 w punktach bibliotecznych.

Co jeszcze wpływa na słabą pracę naszych punktów bibliotecznych — to przypadkowy dobór ludzi,



Bibliotekarze z Koszańskiego na Wystawie Powiatowej w Sławnie.

je się biblioteka gminna. Czymże to tłumaczyć? — Brak rozwiniętego czytelnictwa w 9/10 gromadach naszego województwa świadczy, że rewolucja kulturalna nie dotarła na wieś, jeśli tylko w jednej gromadzie na dziesięć czytelnictwo osiąga poziom taki, na jaki pozwala istniejąca ilość książek w naszych księgozbiórach, na jaki pozwala nasza już dość liczna, bo złożona z 223 bibliotekarzy kadra. Przeanalizujmy dalej, dlaczego się tak dzieje, dlaczego tak płytko jest rozwinięte nasze czytelnictwo na wsi. Jedną z podstawowych przyczyn tego stanu jest zły, wadliwy sposób pracy. Nieuczynili się pracować w czterech murach biblioteki, a w terenie jesteśmy w wielu wypadkach słabi i nieśmieli. Kierownicy bibliotek powiatowych za mało interesują się pracą bibliotek gminnych, a kierownicy bibliotek gminnych za mało są w punktach bibliotecznych. A że systematycznie dojazd do punktów i tam przeprowadzona wspólnie z punkciarzem akcja czytelnicza daje dobre rezultaty świadczy praca Otyli Braciejskiej z gm. Łąki, pow. Złotów. Bibliotekarka ta mimo braku środków lokomocji często wyjeżdża rowerem okazyjnie zdobytym, lub chodzi pieszo i odwiedza istniejące w jej rejonie 6 punktów bibliotecznych. Dzięki temu w punktach

którzy tę pracę wykonywają, to niezwiązanie pracy punktu z organizacją społeczną, która na gromadzie najlepiej pracuje. Bibliotekarz nie ma często właściwej, słusznej oceny terenu, bo pracuje samotnie w pojedynkę. Bibliotekarz nie rozumie jeszcze nieraz, że biblioteka bez szerokiej współpracy z organizacjami społecznymi swej pracy nie wykona. Trzeba przyjąć jako zasadę, że kierownika punktu bibliotecznego wybiera organizacja masowa taka, która w danej gromadzie najlepiej pracuje. Organizacja ta jak ZMP, ZSCH, LK, bierze odpowiedzialność za pracę punkciarza.

Jaką podstawową formę pracy z czytelnikami zastosujemy w pracy punktów bibliotecznych? Nie tyle wystawki, gazetki — ile bezpośrednie pójście z książką od domu do domu. Mamy już dobre wyniki stosowania tej akcji księgonoszy w pracy bibliotekarzy gminnych. Tak samo wzmożenie należy nasz udział z książką, z czasopiśmem na każdym zebraniu gromadzkim. Punkciarz, bibliotekarz na zebraniu winien przeczytać urywek z ciekawej książki, takiej której tematyka będzie związana z charakterem zebrania, punkciarz na zebraniu wykona wystawkę tematyczną książek i je wypożyczy.

Przypomnijmy sobie, z jakim hasłem weszliśmy w rok 1952. Ha-

sło to brzmiało: „każdy bibliotekarz agitatorom czytelnictwa, a biblioteka to instytucja politycznego wychowania mas pracujących.” Był to niewątpliwie przełom w sposobie pracy wielu bibliotek. Uwidoczniło się to w masowym udziale w dwóch naszych doniosłych kampaniach politycznych, jakimi były: popularyzacja Konstytucji i wybory do Sejmu. W każdej z tych kampanii wszyscy bibliotekarze gminni, miejscy i powiatowi wzięli czynny udział. Około 80 proc. bibliotekarzy było agitatorami Frontu Narodowego, 50 proc. było członkami Komitetów Bibliotekarzy do- żą pomoc okazał w dekoracji żałobnej, byli zazwyczaj kolporterami broszur i gazet. Biblioteka gminna w Koczale pow. Człuchów potrafiła 12 czytelników zmobilizować na agitatorów po gromadach, z jej inicjatywą gmina Spółdzielnia postawiła dwie nowe gablotki. Emma Donner prowadziła szeroką akcję uświadamiającą, docierała do poszczególnych chłopów, wskazywała na konieczność wywiązywania się z obowiązków wobec Państwa, czytała wyjątki z książek w czasie pracy w polu. W okresie kampanii wyborczej wyróżnili się kierownicy bibliotek powiatowych: Pilecka Maria, z Koszalina, Plank Maria i Plank Irena ze Sławna, Paluchówna Anna ze Słupska, Skiemisz Stanisława ze Szczecinka, Weiland Gertruda z Bytowa, z bibliotekarzy gminnych: Braciejska Otylia, Koszalska Wiera, Wiśniewska Kazimiera, Cybula Janina, Jędrzejek Irena, Dobka Maria, Chylewska Teresa, Romanów Adam, Bielowska Krystyna, Urban- czyk Eleonora, Kotlarczyk Franciszka, Brzozowska Felicia, Donner Emma, Jagła Helena, Barnas Bronisława, Kowalska Anna, Chojnacka Leokadia, Rudnicki Stefan, Kurza- wa Maria, Ciechowaska Amalia, Stański Ignacy, Jachimowicz J., Lewandowski R., Bielawska Stefania, Pietrus Jan, Gawdzik Antoni, z bibliotekarzy miejskich: Dąbrowska Tatiana, Doniczowski Hilary, Jeloniec Stanisława, Żubrow Bron., Senczuk Wolentyna, Bronowicka Adela oraz kolektywne pracowników bibliotek z Koszalina i Słupska.

Jaki jest efektywny bilans naszej roboty politycznej? Jest to niewątpliwie liczba nowopozyskanych czytelników, 2.126 w okresie popularyzacji Konstytucji, a 5.538 w okresie kampanii wyborczej do Sejmu, czyli, razem pozyskaliśmy 7.664 czytelników, co stanowi około 1,5 proc. wzrostu w stosunku do ilości mieszkańców województwa. Ale żła byłoby, gdybyśmy obliczali bilans naszych osiągnięć jedynie od strony cyfrowej, bo procesowi ilościowego wzrostu czytelnictwa towarzyszyła zmiana stosunku czytelnika do książki i biblioteki. I to właśnie trzeba uznać jako rzecz najważniejszą.

Aleksander Majorek

BERNARD GRABOWSKI

DO GIŁAW, DO OJCZYZNY...

(Z obrad Warmiaków i Mazurów w Olsztynie)

Gospodarstwo zastane zniszczone. I budynki i pole. Z inwentarza nie pozostało nic. Ręce opadały, bo co z nami będzie jutro? Ale sobie myśleliśmy, że przecież to nie są Hitlera czasy i rządy, że przecież między ludźmi jesteśmy, że pomagamy, nie dajmy zginąć. I tak było. Najpierw dostaliśmy konia, potem krowę. Z otrzymaną pożyczką kupiliśmy jakieś tam narzędzia, trochę poporowaliśmy budynki. Po roku jako tako odychaliśmy. I miałem czas zrozumieć, że bez pomocy państwa, a jeszcze przy kapitalistycznych rządach, kie-

sku próbowała sprzedawać różne towary, tylko to było dziwne, że tymi jej kolegami byli sami tacy po 30 i więcej hektarów, czyli kulacy: dwóch Mazurów, jeden z Buga i dwóch gdzieś tam od Lublina. Ja dawno miałem ją na oku, inni pomogli i dzisiaj nie ma i nie będzie już u nas kulackiego kumoterstwa.

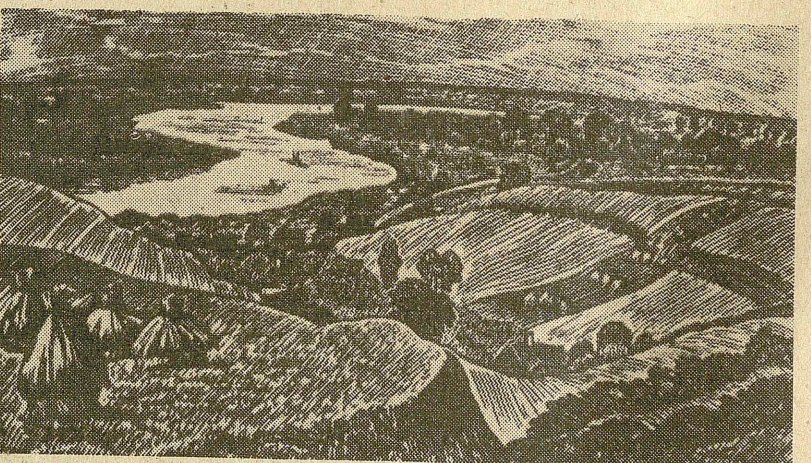
Jestem również soltysem. Nie mogę narzekać na gromadę. Z podatka mam dobre staimy. W czasie głosowania u nas było bardzo wesoło, jak na wielkie święto. Poza jednym ciężko chorym, wszyscy poszli do

rach 32 q zakontraktowanego. Inu. Wiele osób zgłaszało ten tem, dopytywało się, jak go siałem, jak wynawozilem. A ja opowiadałem. Jak agent jeździłem, też po innych wioskach i patrzyłem jak się uprawia różne rośliny. Thumaczyłem co trzeba robić, jak, o której porze. I nie mogę narzekać, żeby źle szło... Ludzie chcą dobrze robić, ludzie chcą dużo wiedzieć. Tylko, że trochę mało jest na to czasu i zdążyli się jeszcze więcej mieć w głowie.

Jestem przewodniczącym Gminnej Kasy Spółdzielczej. W Kasie nie mam trudnej pracy, bo w naszej gminie mamy dobrze pracującą Samopomoc Chłopską, a jak Samopomoc żyje, to i kredyty idą na wieś bez omyłek. A bywały przecież niekiedy takie omyłki, że dawano się pożyczkę nuby biednemu, a za te pieniądze bogaty krećł dat na arbyty biednych.

Mnie dobrze jest w mojej ojczyźnie. Jest mi ona Serdeczną Matką i wielu z nas Mazurów i Warmiaków, garnie się do niej jak do matki, a do tych, którzy z zachodnich Niemiec pytają nas o życie w Polsce, piszemy: Polska to nie Adenauerów. Chodźcie tutaj! Tutaj jest pokój, robota i chleb. Mam na zakończenie prośbę. Jest nas już paru w gromadzie za spółdzielnią produkcyjną. Myślimy, że w spółdzielni będzie więcej z hektara, że teraz za każdym koniem chodzi jeden chłop, a w zespole w spółdzielni mądrzej będzie można tę robotę zorganizować, maszyną wywręca tu ludzi. Młodzie pójdą do fabryk, hut, a jak tam dużo wyprodukują, to przecież przede wszystkim nam będzie lepiej. A w Nowej Hucie jest przepięknie. To jest olbrzymia budownia, żeby ją jako tako poznać, to należałoby ją za 14 dni zwiedzać. Widzieliśmy ją na uycieczce. Trzeba tam zawieźć wszystkich chłopów z naszej Warmii i Mazur, żeby zobaczyli co to znaczy Polska. Ja chciałem na zakończenie prosić, żeby powiatowe i wojewódzkie władze pomogły nam, jak najszybciej zorganizować spółdzielnię. Kiedyś chłopom nam postawił ten ostatni — zdaje mi się — już nawet nieduży krok. Jest to krok nieduży, ale bardzo mądry, bo wspólny i jednoczący wszystkich — Warmiaków, osadników i Mazurów.

Bernard Grabowski



Mal. W. Radwan

dy to tyle wilków czyhało na chłopskie gospodarstwo. — ni jak bym sobie nie poradził. W 1949 r. miałem już parę koni, trzy krowy, buhaja, 10 świń, a drobiu, to na sztuki nie pamiętam, ale i gęsi, kur i indyków krećł się dosyć niemałe stadka.

W 49 r. wybrały mnie chłopcy prezesem ZSCH w naszej gromadzie. I dzisiaj też nim jestem. Samopomoc jest bardzo na uści potrzebna, bo co chłop znaczy bez organizacji? Do partii, ZSCH, nie każdy jeszcze pakuje, ale w Samopomocy może już dużo dobrego zrobić, chociaż jest i nie partijny. U nas we wsi i nawo- zy dobrze są rozdzielone, odstawia zboża, ziemniaków i mleka wykonana, a niedawno nas; członkowie ogromnie zgrabnie przypalali w GS-ie kumoterstwo. Sklepowa po koleżeń-

urny jak jeden mąż. A jeszcze lepiej z kontraktacją. Chciałem tutaj odpowiedzieć, że jestem również agentem kontraktacji trzody i roślin. Powiadał ludźmi, że w jednej tam gromadzie w naszych stronach chłopci nie zakontraktują według planu, że to ciężka gromada. A ja mówię na to, że zakontraktują. Bo jakże, myślałem sobie, chłopci nie pójdą tam, gdzie jest ich interes? Pojechałem na tę gromadę. Pogadaliśmy o rolnictwie — ja trochę znam się na rolnictwie, bo czytam dużo różnych fachowych książek i chłopci tamtej zakontraktowali 30% ponad plan. Gromada ta wcale nie jest trudna, tylko trzeba niektórym chłopcom palcem pokazać co to znaczy kontraktowanie burak, trzoda, czy jakiś tam rzepak. Ja miałem np. na 25 a-

Tadeusz Chrościelowski

NA MAZOWIECKIEJ DRODZE

„Te brzoza kilka, bieg tej wody
Jak mi wiele przypomina“
Ludwik Kropiński

„Nowi ludzie Mazowsza witajcie!
Nowe dzieje Mazowsza witajcie“
Włodzimierz Słobodnik

Są teraz ferie. Przez Pustelnik
Pod wodzą stryja. Stryj — kombatant
Strajków i marszu na Kołobrzeg —
Obmyśla żniwa tak, jak atak
Na wroga, kiedy stał na Odrze.

„Tu kosynierzy, pułk żniwiarek
Przejdzie po „równym“ pode dworem.
I wszystko ma być pod zegarek —
Józek powtarza to z humorem

I z dumą. Upał wzrósł w południe,
Jakbyś promienie wół z powróz. Fala
Fala powietrza drga nad Brzozem.
Niesiemy odsiecz tamtym w Rudnie.

Przed nami miasto. Tóż, za torem
Hal Pepeerki kontur mglisty.
Skąd wiatr szcęk młotów porywisty
Niósł, jakby dzieciół stukał w kore.

Bocznica, nowe magazyny,
Łańcuch traktorów, jakiś wykop,
Węglarki. Teraz przekroczymy
Tor. Dom Kultury przed fabryką.

Spotkałem Rocha, też go dzieckiem
Znałem, dziś traser znakomity,
Szablony kreśli, a w Kieleckiem
Ojciec w tych miejscach wbiła nity

W most. Miał ojczysto was bajeczny
I trosk najwięcej w Brzozem całym.
Znużony był i zmarnotniały
Jakby co najmniej szlak dróg mlecznych

Obzedł. A było to karmienia
W chacie sześć gab, gdy mu zajęli
Morgę sekwestrem. Precz wspomnienia!
Chodźmy. Za wałem, od kamienia
Droga do Rudna mknę jak strzelił.

Lecz jeszcze chwila. Spójrz, tu lasy
Nad Srebrną palit szereg godzin
Ludziom i lasom wrogi lasyżym.
Ludzie przetrwali, a las wschodzi.

Idziemy. W dali pod Zamieniem
Sośnina gruba jak bekiesza
Okrwina szosę, wabi cieniem.
Rytm wiersza zmieniam, krok przyspiesza...

*

Podrudzie. Jest tu — nie przekreść —
Wzgórze przezwane „Kuternoga“.
Po Bożej Meki lewej ręce
Do Józefiny wiedzcie droga.

W tym miejscu straszyl niegdyś „czarny“
Nim — mówią — w stronę dworu zboczył.
Tu niegdyś Kuśpit legendarny
Z policją ciężkie boje toczył —

Bohater wielu gawęd, baśni,
Dziś dużo mniej już znany młodszym.
Myśle, że wreszcie ktoś wyjaśni:
Czy to Ondraszek był czy lotrzyk.

Tu, sądzę, odpoczniemy chwilę.
Ta szosa była wpiern tak pusta,
Że o krok bocian jak nad Nilem
Pół dnia stał siedząc błotne lustra.

A dzisiaj stale nas mijają
Furmanki, żółte jak księżyc,
Z groźnym ponurkiem przeciągają.
Ciagniki, chrzestczą gasienice.

Zniwiarki śpieszą z bazy Gliniak
Na pomoc okolicznych wioskom.
Słupowiażak leśniący linia
Na linii lasu. Znowu łoskot.

Teraz na moście auta dudnią.
Wrzasnęły histerycznie wrony.
Wiesz, że w tej chwili dźwięczą w Rudnie
Kosy i nagłe telefony.

I nasz stryj Michał, z partią, z krajem —
Z nim stu spółdzielców — twych kranjów —
Bitwę pszenicy dziś wydaje,
Bitwę nie lichą, według planu.

Betalii, co się zacznie toczyć
Wzdłuż szosy na brzożowym szlaku
Złowrożyć będą wilcze oczy
I grozić twarda pięść kulaków.

Popatrz, brzeg szosy cały w makach,
Drobiaż (szczyt wiejskiej galanterii),
Kobiety rzędem szły w pasiakach
Kołbielskich, nowych, bo z „Cepeli“.

Onegdaj — skojarzenie drobne —
Jechały wśród tych pól ze śpiewem
Z obozów letnich pod Karczewem
Licealistki „dość nadobne“ —

Jak stwierdził Józek — zwiedzić miasto,
A wiatr się bawił na wybojach
Wzorzystym sercem czy zapaską —
Bo były też w kołbielskich strojach:

Tak w ziemi, której Norwid z dali
Stał wiersz - wyznanie, że w niej smutno
Zakwita wolność i socjalizm,
Sztuka i mazowieckie płótno.

Tu pieśń się kończy. Będzie inna.
Więc Brzoze, Gliniak i Pogorz,el,
Ziemio walcząca i rodzinna
Oczadająca się w folklorze,
Zegnaj na teraz.

Ty zaś wybach,
Mój czytelniku, żem do Rudna
Cię nie wprowadził. Trafisz chyba.
Droga tam prosta jest i ludna.

Już późno. Słońce zza Zamienia.
Złożyło swój czerwony pasiak
Ni. drzewach, polach i kamienicach...
Po czym wiatr przyszedł i zmierzch zasiał.

SŁAWOMIR KRZEMIEN

REPORTAŻ CZY NIE REPORTAŻ?

O KRESŁIC gatunek literacki opowiadał Koźniewski nie jest łatwo. Autor zresztą doskonale widzi tę trudność. Reportaż czy opowiadanie? Szkice do powieści? Pogranicze powieści? Reportaż życiorysowy? Opowieść życiorysowa? — oto różne określenia, które przychodzi mu na myśl, kiedy w przedświu porusza tę kwestię. Sam nie ma bynajmniej zamiaru jej rozstrzygać. Niefrasobliwie przetrzuca to zadanie na barki czytelnika, lub krytyka literackiego, stwierdzając po prostu: — „jak chcecie“.

Zagadnienie wydaje się jednak istotne. Nie tylko dlatego, że w ogóle zagadnienie reportażu stoi dziś bardziej niż kiedykolwiek w centrum zagadnień literackich, ale wagę jego zwiększa fakt, że typ utworu, przyjęty przez Koźniewskiego, jak o tym świadczą liczne wydawane w ostatnich latach pozycje, nie jest bynajmniej czymś odosobnionym. Wyjątkowym, przeciwnie, zaczyna pojawiać się dość często.

Artykuł niniejszy częściowo tylko podejmując kwestię, nie ma bynajmniej ambicji jej wyczerpania. Oprócz zresztą tego zagadnienia chce dotknąć paru innych spraw — związanych, albo i nie związanych z książką Koźniewskiego. Nie będzie więc oceniał książki na sposób recenzyjny, chce być tylko głosem „z powodu“ tomu o „Otwartych wrotach“.

*

Reportaż jest dziełem chwili i bezpośrednio służy chwili. Aktualność ma dla reportażu wagę istotną, określającą charakter jego oddziaływania na czytelnika. Kontakt autora z odbiorcą jest tutaj kontaktem dwu ludzi, żyjących w tym samym czasie, to zaś sprawia, że ich doświadczenia życiowe są w podstawowych zarysach jednakowe, bo dotyczą tego samego, aktualnego momentu historycznego i kształtują się w zasadniczo podobnych warunkach. Dlatego reportaż może oddziaływać na odbiorcę siłą skojarzeń z aktualną, bliską, bezpośrednią rzeczywistością, może zmuszać go do konfrontowania doświadczeń autora z jego własnym, osobistym, życiowym doświadczeniem. Te konfrontacje mogą być nierzadko niezwykle płodne w skutki. Wobec centralnych zagadnień rzeczywistości, ujętych w literacką formę reportażu, bardzo trudno jest pozostać na pozycjach „złotego środka“. Problem „za“ lub „przeciw“ narzuca się z pełną wyrazistością. A przecież o takiej właśnie agitycji typ konfrontacji chodzi. Możliwość ideowo - artystycznego oddziaływania reportażu tematycznie, nieaktualnego już dla danych warunków historycznych, aczkolwiek nie wykluczona, posiada znaczenie raczej tylko uoboczne.

Zasadą jednak, która, jak się wydaje, stanowi o specyfice reportażu

jako gatunku literackiego, jest zasada wierności, dokumentalności materiału literackiego. Przyjęcie tej zasady zmusza bowiem reportażystę do pewnej bardzo zasadniczej operacji: jeśli nie pozbawia go w pełni, to w każdym razie silnie ogranicza, jego prawo do wprowadzania w utwór literacki elementów fikcji literackiej, a więc powoduje konieczność bardzo silnego uszczuplenia swobody w organizowaniu czerpanego z rzeczywistości i doświadczenia materiału treściowego, która jest właściwa metodzie fikcji literackiej. Elementy fikcji w reportażu muszą mieć stąd bardzo ograniczony i podrzędny charakter, muszą zostać podporządkowane niekwestionowanej autentyczności głównego problemu utworu.

Każdy utwór literacki powstaje dla wypowiedzenia pewnych sądów, idei o życiu, o rzeczywistości. Każdy utwór literacki jest więc odbiciem rzeczywistości i zarazem artystycznym ujęciem pewnych sądów o niej. Różnica między reportażem, a innym gatunkiem literackim nie jest oczywiście różnica treści — tu i tam treścią jest najogólniej biorąc życie społeczne, człowiek w całokształcie stosunków społecznych. Różnica tkwi w sposobie artystycznego organizowania treści, w sposobie artystycznej obiektywizacji idei.

Dla nowelisty — (niech nowela, opowiadanie będzie tu przykładem gatunku, który można w tym względzie przeciwstawić reportażowi) — potężnym narzędziem organizowania tych treści jest fikcja literacka. Nowelista materiał do obrazu literackiego, za pomocą którego chce przekazać czytelnikowi pewne sady, czerpie swobodnie i bez ograniczeń nie tylko spośród zjawisk całej współczesnej mu rzeczywistości, ale też spośród materiału nagromadzonego w jego świadomości w ciągu całego życia. — Cały materiał doświadczalny służy mu do tworzenia konkretnego obrazu. Sposób konstruowania tego, co łączyamy akcją, fabułą, sposób łączenia w utwór cech, zdarzeń, zjawisk jest podporządkowany tylko temu, aby stworzyć obraz jak najlepiej i najpełniej wyrażał ideowe zamierzenia autora.

Reportażysta zachowując zasadę dokumentalności tekstu, tym samym poważnie ogranicza tę swobodę, jaką daje fikcja literacka. W zakresie reportażu swoboda organizowania treści ogranicza się jedynie do dowolnego wyboru odcinka rzeczywistości, który ma się stać przedmiotem literackiego opisu. Później już dowolność maleje do minimum. Elementy fikcji mogą służyć tylko wzbogaceniu i artystycznemu upiększeniu podobieństwa autentycznego, konfliktu.

Koźniewski nie rezygnuje więc z fikcji literackiej. Ale dokładniejsze

przyjrzenie się przykładowo wybranym postaciom Halucha nasuwa myśl, że Koźniewski nie ma też ochoty na całkowitą rezygnację z owego właściwego reportażowi atutu niewątpliwości dokumentalnej wierności materiału. Autor różnymi środkami stara się sugerować czytelnikowi wrażenie, że to, o czym traktuje książka, nie jest tylko tworem jego świadomości. „Jedno jest najzupełniej pewne: to nie jest fikcja“ — stwierdza w przedświu. Starając się nie wiedzieć o swoich bohaterach więcej niż jest to dostępne przeciętnemu człowiekowi.

Tu nie trzeba ulegać sugestiom autora, który wieloznaczne słowo „fikcja“ odrzuca w jego sensie potoczny, „dowolność“ i „niezależność“ koncepcji autorskiej. „To nie jest fikcja“, gdyż realistyczne opowiadanie, niezależnie od typu konstrukcji i bezpośredniego związku z materiałem rzeczowym podsumowuje prawidłową wiedzę autora o świecie przynosi, nam prawdę o naszym czasie. Doświadczenie pisarza, czerpiącego postacie i konflikty nie z fantazji, lecz ze studiów nad życiem poręcza nam prawdziwość obrazu. Jednocześnie „to jest fikcja“ w sensie typu konstrukcji literackiej, bliskiej normalnej technice opowiadania. Postacie są nie tylko typami literackimi, dalekimi od surowego autentiku, autor nie cofa się przed chwytami „realistycznego wyolbrzymienia“ konfrontując je efektywnej, a zdecydowanie „literackiej“ sytuacji Zofię Granat z jej dawnym dziedzicem. Daje analizę przeżyć byłego właściciela Pawłowicz Zygmunta Jendocha i Karola Wojny — nie rezygnując z autorskiej wszechwiedzy. Z drugiej jednak strony Koźniewski w niebardzo uzasadnionym lekceważeniu nieprawdziwości „fikcji“ literackiej w niektórych opowiadaniach „nie ogranicza autorską wszechwiedzę, (np. „Dzień najpiękniejszy“, „Człowiek“, „Dłatego“ opieruje zwykle charakterystycznym, sprawozdawczym typem narracji, bądź odautorskiej, bądź przerzuconej na kłosa z opisywanych postaci, starając się wiedzieć o swoich bohaterach więcej, niż jest to dostępne przeciętnemu człowiekowi.

Znajdujemy też w opowiadaniach z „Otwartych wrot“ staranną, charakterystyczną dla reportażu dbałość o ścisłe przestrzeganie chronologii i geografii zdarzeń.

Możnaby zresztą z podobieństw tych wywskazać jeszcze znacznie więcej. W tym wypadku jednak nie o to chodzi. Najważniejsze jest stwierdzenie faktu, że Koźniewski z jednej strony nie może wyeliminować ze swego warsztatu pisarskiego metody fikcji, ale też nie ma zamiaru rezygnować całkiem z reportażowego waloru ścisłej prawdziwości opisy-

wanych zjawisk, łącząc w ten sposób niejako dwa gatunki literackie. Wniosek brzmiałby więc może: opowieść reportażowa?

*

Jeszcze jeden problem na marginesie lektury książki Koźniewskiego. Rozmawiałem kiedyś ze Smyłem. Opowiadał mi swoje dzieje. W pewnym momencie wiedziałem o jego życiu mniej więcej tyle, ile wiem o Haluchu po przeczytaniu opowiadania z „Otwartych wrot“. I wtedy właśnie Smył stwierdził: „Ale co można powiedzieć w takiej jednej rozmowie, o paru tylko latach bezrobocia powieść by można napisać.“

Stwierdzenie to świadczy przede wszystkim o tej prostej prawdzie, że reportaż lub opowiadanie, choćby najlepsze, nie zastąpi powieści. Ale przypomina jeszcze o jednym: skoro w reportażu nie można powiedzieć d o b r z e, to przynajmniej trzeba powiedzieć d o b r z e. Materiał reportażowy musi być w każdym szczególe głęboko reprezentatywny.

Przy lekturze Koźniewskiego nasuwa się w tym względzie uwagi.

Jeden tylko przykład — z tego samego omawianego już poprzednio opowiadania o Haluchu.

Haluch jest w utworze postacią centralną, koncentruje na sobie gros autorskiej uwagi. Problem profesora Marciszewskiego jest w stosunku do problemu Halucha czymś niewątpliwie dalszorzędnym, drugoplanowym. Nie znaczy to jednak, że plan drugi ma kiedykolwiek prawo być planem bardziej płytkim.

Problem Marciszewskiego jest problemem starej inteligencji technicznej powoli przystosowującej się do nowych warunków pracy w ludowym państwie. Rzecz się dzieje w 1949 roku. I Koźniewski twierdzi, że w 1949 roku ten stary profesor „coś ćwiczeniemi i wykładami nie miał ze słuchaczami kontaktów administracyjnych“. Dlatego też „zdumiał się“ gdy przyszło do niego trzech studentów drugiego roku. Zdumiał się tak bardzo, że Haluch już po raz trzeci powtarzał swoją prośbę, już „głos mu zaczął drzeć w podnieceniu“ — a „profesor ciągle milczał uśmiechając się zdziwiony“.

Nie bardzo jest to przekonujące — nie tylko od strony motywacji psychologicznej. 1949 rok — jaki to był gorący okres dla polskich uczelni! A jeszcze dla takich robotniczych uczelni, jak popołudniowa politechnika Halucha! Przecież to był okres nadzwyczaj silnej, wtedy już zresztą zdecydowanie wygranej ofensywy ideowej postępowych sił wśród studentów i naukowców. Pość studentów zorganizowanych w ZMP na I roku studiów osiągnęła już wtedy 50 proc. W końcu 1949 roku profesor (który nawiasem mówiąc, zdążył, jak twierdzi Koźniewski, już podczas wojny zrozumieć co znaczyła apolityczność hitlerowskich naukowców) — najwinnie zdumiewa się na widok studentów przychodzących poza obowiązkowymi kontaktami służbowymi? — Coś tu nie tak.

Albo jeszcze jedna sprawa: profesor Marciszewski pracuje jako pedagog, chwala boga, już 41 lat. I twierdzi, że „nie spotkał ucznia, który matematyki chciałby się uczyć ponad obowiązkowy kurs“.

To jest też nieprawdopodobne. Jedną z cech charakterystycznych uczelni przed wojną było zjawisko krystalizowania się wśród studentów nielicznych, elitarnych kolekcji, grup, których się wokół poszczególnych naukowców i pracujących pod ich kierunkiem. Byli to na ogół ludzie i zdolni i chętni do pracy, z nich też rekrutowali się najczęściej późniejsi pracownicy naukowi. I najistotniejsze było to, że uniwersytet kształcił przed wojną tylko o te nieliczne, elitarne grupy, nie troszcząc się o przezwyciężającą liczebnie resztę, z której tylko znikomy procent kończył studia. Pod tym właśnie względem w naszych nowych uczelniach jest dziś (ale i było już w 1949 roku!) zupełnie inaczej.

W sumie więc zdumiewające się na widok chętnych do pracy studentów Marciszewski jest postacią zbyt uproszczoną i zbyt naiwną, zbyt płytko wyrażającą rzeczywistość, by mogła wzbudzić u czytelnika głębsze zainteresowanie, by mogła go czegoś istotnego nauczyć o życiu. Jeżeli czytelnik chociaż trochę zna środowisko uniwersyteckie, wyczuje niewątpliwie ten brak.

Reportaż jest dziełem chwili, reportaż, lub opowiadanie reportażowe nie może stać się czymś bardziej trwałym niż chwila, która go zrodziła. Reportaż Gorkiego służy nam do dziś i znalazły bezwzględnie stałe miejsce w dorobku kultury narodu radzieckiego nie tylko przez to, że zachowały pomekąd do dziś swoją bezpośrednią polityczną aktualność, ale przede wszystkim dlatego, że w nich każdy, element, każdy szczegół, chociażby najdrobniejszy, wyraża coś, co jest głęboko i trafnie przemysłane i zrozumiane, co stanowi trafne i głębokie uogólnienie pewnej strony rzeczywistości.

„Dla jednego słowa

Tysiące ton zmarujesz rad, językowej rudy“

To stwierdzenie Majakowskiego musi służyć wskazówką każdemu twórcy literatury. Istota rzeczy tutaj, to głęboka partyjna, rzetelna odpowiedzialność za wypowiedziane słowa.

Sławomir Krzemieli

FRANCISZEK PUŁŁOWSKI

Dwie sztuki

BYLEM niedawno w Warszawie dwa razy w prawdziwym teatrze. Podkreślam — „prawdziwym“, bo przed tym nie dane mi było jakoś zobaczyć zawodowego teatru. No, cóż w Lipińskim teatru nie ma. Objazdowy, gdy czasem przyjechał — nie poszedłem. Kilka sztuk w wykonaniu amatorskich zespołów — to wszystko co oglądałem.

Chcę więc krótko podzielić się wrażeniami, które wyniosłem z prawdziwego teatru. Czynię to być może późno, bo sztuki na jakich byłem grane były już kawałek czasu temu, no, ale lepiej późno niż wcale.

Sztuki oglądałem dwie: jedną polską T. Łomnickiego „Kakol i pszenica“, drugą pod nazwą „Sztorm“, którą wystawił radziecki zespół im. Mossowietu.

„Kakol i pszenica“ widziałem wcześniej — dlatego o niej chcę najpierw powiedzieć.

Jest to sztuka o spółdzielni produkcyjnej — ciekawa, ale mym zdaniem — kiepska. Powiem od razu, ta sztuka mi się nie podobała. Dlaczego? — Dlatego, że występujący w niej chłopcy nie wyglądają na prawdziwych spółdzielców, a są raczej ich karykatura. Karykaturalnym jest ich nie tylko wygląd zewnętrzny (podobieństwo do chłopów z czasów Bartosza Głowackiego) ale i całe postępowanie. Nie są to spółdzielcy, a kupa bezmyślnych głupców, którzy nie wiadomo jakim cudem znaleźli się w spółdzielni. Pod ładą podmuchem chwieje się ta kupa to w tą, to w drugą stronę (widać to wtedy kiedy wszyscy występują przeciw przewodniczącemu Józkowi i kiedy później razem rzucają się na Wawrzka).

W treści swojej sztuka pokazuje działaniami wroga. A jest to nie wrog zewnętrzny, nie kulak, ale członek spółdzielni, średniorolny chłop Wawrzek, który jest poplecznikiem kulaka Kuby. Zdemaskowanie go przez spółdzielców, to zasadniczy problem w sztuce (przynajmniej mnie się tak wydawało).

Stykałem się z wieloma spółdzielcami produkcyjnymi i wiem, że tacy wewnętrzni wrogowie istnieją. Zdemaskowanie ich i wyrzucenie poza nawias spółdzielni to

nieraz ciężka sprawa. W sztuce Łomnickiego zrobić to można jednak łatwo. Zdemaskowanie Wawrzka jako wroga następuje przypadkowo przez podmuchanie przez chłopca Dedko rosnącego jak Wawrzek prowadzi z żoną.

Czy jest to jednak potrzebne? Kim jest Wawrzek — zorientować się łatwo już na początku sztuki. Przede wszystkim nie wygląda on na średniaka, różni się zdecydowanie od reszty chłopów nie tylko ubiorem, ale swoimi posunięciami, kwalifikującymi go na kombinatora, wiejskiego chuligana z wąskimi, lecz nigdy chłopca. Do zdemaskowania jego jako wroga nie potrzeba podsłuchiwań. Ze spółdzielcy byli tak ślepi — to co najmniej dziwne. W sztuce też brak jest partii. Spółdzielnia widocznie powstała samorzutnie, bez opieki, bez politycznego kierownictwa i pomocy partii. Ale tak może być tylko w kiepskiej sztuce, bo w rzeczywistości mniejszy czy większy związek i mniejsza czy większa pomoc i polityczne kierownictwo od partii spółdzielnia ma. W „Kakolu i pszenicy“ o komitecie powiatowym dowiadujemy się tylko wtedy, kiedy przewodniczący Józek jedzie do miasta po poradę jak zużytkować pieniądze z odszkodowania i jak budować domy spółdzielcze. Partie zastępuje w sztuce majster Kozik, który rzekomo organizuje POM. On to jest wyrocznią dla przewodniczącego Józka i on całą sztukę krasi politycznie.

Wiem, że literatura, sztuka teatralna pomaga w pracy aktywistów terenowych, samemu chłopu pozwala zrozumieć wiele rzeczy. Literatura uczy, mobilizuje do walki nowego ze starym, wygłasza słuszne wnioski z wielu trudnych do zrozumienia spraw.

O wsi mamy już kilka książek. Uchwycić przemiany jakie zachodzą dziś na wsi, ustawić je w sposób słuszny, na pewno nie jest łatwe. Dlatego też ciągle jeszcze eksperymentuje nasza literatura o wsi. Ale sztuka Łomnickiego nie jest dobrym eksperymentem, bo nie pokazała wsi taką jaką jest. Pokazana w niej spółdzielnia jest nieprawdziwa, jak nieprawdziwi są jej członkowie.

Na podstuchach daleko się nie zajdzie. Czujność rewolucyjna, sta-

ła podnoszenie wykszolenia politycznego, oto najlepsza obrona przed wrogami typu Wawrzka ze sztuki Łomnickiego.

Za najwyższy brak w sztuce uważam niedostateczną jej rolę mobilizacyjną. Jeżeli kolektyw zwycięża, bije wroga, wyrzuca go, to niech to nie będzie tylko formalnością. Niech w tym kolektywie, w jego zwycięstwie będzie trochę rewolucyjnego patosu, niech zwycięstwo spółdzielców przekonuje, że sprawa spółdzielni produkcyjnych jest słuszną, niech daje przykład, że wrog wszelkiej maści jest bity i będzie zawsze bity. „Kakolu i pszenicy“ pamięta się tylko sześciu happy end — ślub Cesi i Józka, a poza tym słusznym wnioskiem i bodźcem do roboty, do walki o słuszną sprawę nie znajdujemy. Nie wiele pożytku z takiej sztuki.

Jakże inne są moje wrażenia z radzieckiej sztuki pt. „Sztorm“. Grali ją radzieccy artyści i mimo że rosyjskiego wiele nie znam — zrozumiałem ją całą. Tak, taka sztuka uczy, mobilizuje, pokazuje jak bić wroga, przekonywuje o słuszności socjalizmu.

Powiem krótko dla przykładu, że w tych fragmentach sztuki, gdzie w gabinecie Czeka zostają zdemaskowani spekulanci - sabotażyści i carski pułkownik i kiedy przy końcu mówią do funkcjonariusza „Czeka!“, „to prawda — pisz“, wtedy ja, widz śledzący w krzesle i patrzący na sztukę, poczułem się również zwycięzcą. Takie zakończenie — to nie płytki optymizm, ale zwycięstwo idei, która zdolna jest pokonać wszystkie przeszkody. Taką sztukę pamięta się długo, umacnia ona w człowieku wiarę w słuszność naszej polityki, naszego ustroju, daje mu siłę do walki.

— Chciałbym żeby nasi pisarze napisali sztukę na temat wiejski, z której można by wyciągnąć tę naukę, którą wyciąga się ze sztuki „Sztorm“.

Chodzi mi o taką sztukę, która pomogłaby pracownikowi politycznemu, instruktorowi komitetu, pracownikowi POM-u, chłopu w ich wspólnej walce o przebudowę wsi.

Franciszek Pułłowski

Cecylia Gorczyca maluje wzory
Foto — K. WieruckiJan Gorczyca przy warsztacie
Foto — K. Wierucki

KRYSZYNA PALYS

ARTYSTYCI NAD BUKOWĄ

ZNAZWA Łązek Ordynacki spotkałam się po raz pierwszy w roku 1948, na wystawie regionalnej sztuki ludowej w Lublinie. Pierwszą nagrodę za ceramikę artystyczną otrzymał wtedy siedemnastoletni chłopiec z tej wioski Czesław Sikora. Zresztą nie on jeden był na liście nagrodzonych, znajdowały się tam i nazwiska jego sąsiadów. Po raz drugi przypomniał mi się Łązek, gdy w prasie radzieckiej ogłaszałem zdjęcie dzbanka i miseczki, które reprezentowały naszą ceramikę na Wystawie Polskiej Sztuki Ludowej w Moskwie. W lecie tego roku artyści ludowi z Łązka Ordynackiego dali znać o sobie po raz trzeci. Na konkursie rzeźbiarzy i ceramików ze spółdzielni podległych lubelskiej ekspozycji CPLiA, Agnieszka Żelazko zdobyła nagrodę Międzynarodowej Kultury i Sztuki, a Mateusz i Ludwik Startkowie zajęli pierwsze miejsca. Ceramiki z Łązka w dalszym ciągu nie było w sklepach — jak to się mówi nawet na lekarstwo. W ten sposób doszło do niezłomnego postanowienia z mojej strony: Dotrzeć na miejsce! Po długich poszukiwaniach udało mi się wyodrębnić starą, zatartą mapę województwa i odnaleźć na granicy Lubelskiego i Rzeszowskiego małe-

końcu otworkiem. Spływała nim farba na garnuszki i trzeba było bardzo śpieszyć się przy tej robocie, gdyż każde zwolnienie tempa, pociągnęło by za sobą nadmierny wywiew ciecicy — wzór wyszedłby wtedy nierówny, koślawy.

Babunia spod pieca, początkowo trochę nieufna, gdy widzi, że podziwiamy zręczność wnuczki, staje się rozmowna.

— Czy dawno zajmują się w Łązku taką robotą? Nie odrosła jeszcze od ziemi, jak dziadkowie lepili naczyń, od dziada przadziada siedzą tutaj przy warsztatach. Przed rozbiorami hrabiowie Zamojscy sprowadzali do swoich lasów ludzi z Rzeszowskiego. W tym domu, gdzie teraz siedzą oni, osiedlił się bardzo dawno Kozłarz, z tych, co to pierwszy przyjechali w te strony. Z Rzeszowskiego pochodzi też ród Sikorów.

Nadszedł prezes spółdzielni Józef Noworol. On też rodem z Rzeszowskiego, z Medyni Górnej, największej kolonii garncarskiej. Żyje tam dwustu garncarzy, ale piece mają nie obudowane, a połowę. Tutaj w Łązku było o drzewo łatwiej, to i ludzie urządzili się wygodnie. Rodzina pracuje przez cały dzień w warsztacie, a do izby idzie tylko na noc, nie wciągając w płuć wilgoci, wy-

leję pod lasem, nazywa się Bukowa. Pod jej wodami mają garncarze z Łązka swoją kopalnię surowca. Wchodzi się po prostu w wodę, odgarnia łopatą piasek z dna i wbiła żelazne widły w rozmokły il. Jest taki spoisty, że nadziewa się cała gruda, którą trzeba wynieść na brzeg. Każdy składa sobie nad rzeką zapas surowca na zimę, a potem po trochu przewozi do warsztatu.

— Dół musi być w tym miejscu nielada — wypytujemy.

— Gdzież tam, po kilku latach rzeka naniesie znowu ilu w tym miejscu i nie ma nawet śladu, że się bierze — śmieje się Sikora. Bukowa jest szkodząca rzeka, ale tylko dla nas, bo takiej gliny już nie znajdziemy nigdzie, chociażbyście przeszukali dno od źródła aż po ujście do Sanu. Myślę, że ta piękna glina, która przysparza każdą farbę, przyciąga tutaj mocniej ludzi niż praca u hrabiego.

Przed odjazdem oglądaliśmy jeszcze nowy dom Paształców, z oknami przyozdobionymi białozłotą ramą i nowy piec Józefa Kurzyny. Budował go, jak pozostałych szesnastu, stary mistrz Pietroniec. W oknie warsztatu zaświeciły między gałkami mirtu niebieskie czy czarne kurzyny, która ciekawie przypatrywała się rzadkim gościom. Kurzynowa ma takie same oczy, a brwi jeszcze wspanialsze od Gorczycówny, maluje też nie gorzej od niej, chociaż zaczynała dopiero po wyjeździe z Łązka. Wysoki z długą szyją i długim nosem a poczywymi oczyma Józef Kurzyna uśmiecha się z zadowoleniem, gdy rozprawiamy z nią o wzorach. Musi być bardzo zadowolony z takiej pomocy.

Noworol chce koniecznie pokazać nam jeszcze plac, na którym rozpoczynają budowę magazynów i biura. Kredyty dostali z Wojewódzkiej Rady Narodowej, cegły też, a drzewo zebrali sami. Będą budować też drogę wprost z tego placu na szosę. Naprzeciwko pola będzie z kilometr i każdy zgodził się odstąpić kawałek ze swego zagonu na wytyczenie nawierzchni. O budowie drogi, magazynu i biur mówi się tutaj jak o rzeczy pewnej. Zależy to przecież od ludzi, a robią. Ale jest jedna sprawa, o której w Łązku Ordynackim żaden człowiek nie potrafi mówić spokojnie: światło. Od dwóch lat drepczą kolo tego, żeby włączyć wieś do sieci (linia biegnie między chałupami). Jedzą od dyrektora do dyrektora, molestują, tłumaczą, że dadzą stopy i robociznę, chodzi tylko o drut i transformator, a ciągle słyszą jedną i tę samą odpowiedź: Nie wstawiono do planów elektryfikacji, te sprawy przejęła inna instytucja.

*

Malarki z Łązka operują trzema barwami, wziętymi z otoczenia: jasną brązem, zapożyczonym od pnia sosnowego z tutejszych lasów (praktycznie rzecz wzięwszy, otrzymuje się ten kolor przez zmieszanie na żarnach gliny zmieszanej z piaskiem), ciemną zielenią, podobną ludzko do koloru szpilek sosnowych (w praktyce dają ją obrzynki miedzi prażone w piecu i mielone na żarnach) oraz białą, jak płaty kory brzozy (mielona „pobiałka”, dostarczana spółdzielcom z Ostrowca Świętokrzyskiego). Brąz i biel są używane nie tylko we wzorach, ale jako polewa, stanowiąca tło, za to zielenią pokrywa się tylko w ornamentach. Operując trzema kolorami artystki i artyści z Łązka stworzyli szeroką skalę efektów, osłaganych drogą najróżnorodniejszych kombinacji i zestawień.

Jako motywy zdobnicze upodobały sobie kobiety z Łązka Ordynackiego „wisienkę” — niewielkie kółeczko, wypełnione farbą, „jodełkę”, przypominającą palmę, „ślimaka” czyli ślimacznice i „ptaszka” (jedynego przedstawiciela świata zoologicznego), rysowanego czterema połączonymi. Ptasek z Łązka, to nie czupurny kogucik mazurski, ani majestatyczny paw z rozpuszczonym ogonem, nie jest to też czardziejski ptak z bajki, ale zwyczajny sobie, niewielki ptaszek leśny, jakich setki

(dokończenie na str. 7)

STANISŁAW PIĘTAK

CÓRK A

(Fragment opowiadania)

UPALNY, przesycony kurzem dzień lipcowy miał się ku końcowi. Rafał Morkwa, siedząc boso przykucnięty na wozie, nie przynaglał gnadej kobyły, która raz po raz wychodziła z kolein i próbowała szczytać trawę rosnącą na skraju drogi.

Zbliżali się już do toru kolejowego. O kilometr, patrząc na zachód, widać było wieś, domy drewniane i murowane zanurzone w sadach, dawny dwór z na pół rozzebranymi budynkami i stary kościół z malutką wieżą. Olbrzymia kępa wysokich topoli rozpościerała się nad płynącą w niewielkim oddaleniu Wisłą.

Rafał zszedł z wozu, bo kobyła szarpnęła się zerwała postronek, i mimo woli rzucił okiem w prawą stronę horyzontu. Uczepione niejako wsi, wybruszone kilkunastokilowym sadem, rozłożyły się tu bogate domostwo Pawła Ciby. Rozległa stodoła z dwoma wórniami stała najbliżej drogi, osłonięta zielenią sliw i młodych orzechów wznosił się głębiej w ogrodzie piękny, drewniany dom z ganezkami i pokojkami na półpiętrze. Gospodarstwo było samowystarczalne. Za sadem odsłaniało się kilkunastokilowe państwo, otoczone wierzbami i niewielkim stawem, wypełniony pływającymi kaczkami i gęśmi.

Jak zawsze, kiedy miał dom Ciby, ścisnęło Rafała uczucie nienawiści, niemal bólu. Przecież był szwagrem Ciby, nieboszczka jego żona była najstarszą siostrą tego bogacza, a oto kim jest?

Jakby białym kłosem zaciął go w oczy, w jednym mgnieniu przewaliło się przez pamięć mnóstwo lat i zdarzeń. Skradł się do Frani przez sad, bo stary ani nie chciał o nim słyszeć. Albo ten ich ślub... Stary Sylwester Ciba poblił się z nim na weselu. „Podrobieś, psiekrew, dziwko, myślisz, będziesz miał majątek? A ja nie nie dom, nie!” I rzeczywiście nie dał, zapisał dwie morgi, gdy innym po 7, po 8...

Nadarza się teraz okazja, że może się jeszcze szczęście odwrócić. Stara Cibina podobno dogorywa, pyta się o Basie codziennie, mówi, że chce jej zapisać pole, ma go jeszcze coś pięć morg. No, ale Basia?...

Jakże inaczej wiodło się Cibie. Od ojca otrzymał plac, budynki i pięć morgi ziemi, za żoną kilka tysięcy złotych. Poszczęściło mu się, los sam lepił mu się do rąk. W czasie okupacji dokupił 12 morgi ziemi, wybudował młyn parowy i nowy dom. Powiadają, że ukrywał Żydów, że to po nich majątek. Na pewno. Zandarmi rozstrzelali za stodołą młodą Szadłową z Nakłocina. Ciba może sam donosił, że ona jest tam, jego i na takie rzeczy stać było...

Ludzie oświadczała, że nowy Rząd da mu wrzescie po łapach. Ale czy dał? Cholera, O, młyna się pożył, dostał za niego co chciał handluje w dalszym ciągu to tym, to owym. 50 drzewek nowych zasadził, złota naukował sporo...

Nie dosyć szczęścia, teraz mu się jeszcze syn narodził, syn! spadkobierca!...

— A niech cię diabeł, dawaj łapę — mrucał na kobyłę, przestawiając jej nogę za postronek. Zamyślony nie spostrzegł, że przez pola zdał ku niemu Ciba, z odkrytą głową, w koszuli rozpiętej i białej, rozglądając się po świecie.

— Jak się masz, szwagier? — krzyknął, zbliżając się do wozu.

Rafał poderwał się niemal przeżony.

— Figluje kobyłka — mówił Ciba. Był ogolony, jeszcze młody, świecił mu się żywo małe, siwe oczy, mocna, owłosiona klatka piersiowa przeżyła się w zdrowym, spokojnym oddechu. Na stopach miał zielone pantofle, wyszywane czerwona przedzą, w grubych palcach papieros o złotym usłniku.

Wysoki, chudy, zarośnięty Rafał skrzywił się i zamruczał: — Konopie, konopie niedobre, dopiero ukreśliłem postronek w tamtym miejscu...

— A bo to jest co dzisiaj dobre? — wołał Ciba i już podawał

— Po co? — poderwał się niemal w złości Rafał.

— Jak to, jak krewny z krewnym... — Przez tyle lat nie byliśmy krewni.

— Hm, tak, ale teraz jest inaczej, zmieniła się dusza w człowieku — wzdychał Ciba. — Ciężkie, szatańskie czasy, serce ciągnie do bliskich.

— Wydziwić to ty umiesz, mnie jednak nie nabierzesz.

— Rafałku, do matki jednak byś zaglądnął, jedną nogą są już na tamtym świecie — ciągnął dawnym tonem, niczym niezmieszany Ciba i klepał już kobyłę po tułostej szyi.

— Ano przyjdę może w niedzielę.

— Lepiej dzisiaj, po co odkładać.

Rafał już to ze względu na Basie, już to ze względu, że stara Cibina sprzyjała mu zawsze, zdecydował się niespożycie zjechać na podwórze szwagra, na którym nie był chyba z dziesięć lat.

Słońce już zaszło, na wschodzie poczynano sinieć powietrze, na oborze wchodziły łacie krowy gnane przez kilkunastoletniego pastucha, było ich sześć. Żona Ciby, która podniosła się z łóżka zaledwie

No, nawet nie pracować, po prostu pomagać towo ci dają, odpisałbym jej parę morgów. No, niech ma dziewczyna, niech znajduje szczęście.

Rafał wciąż jeszcze nic nie mówił, lecz wychylił już czwarty kieliszek wódki.

— Chyba ona tam ma kogoś, bo po kiego diabła potrzebna byłaby jej ta murarka!

— Nie ma nikogo, ona już taka jest.

— Musisz jej to wybić z głowy. Mówię ci, babka kiedyś plakała cały dzień, gdy im ktoś o Basie opowiedział.

— Plakała? — wzruszył się niespodzianie Rafał.

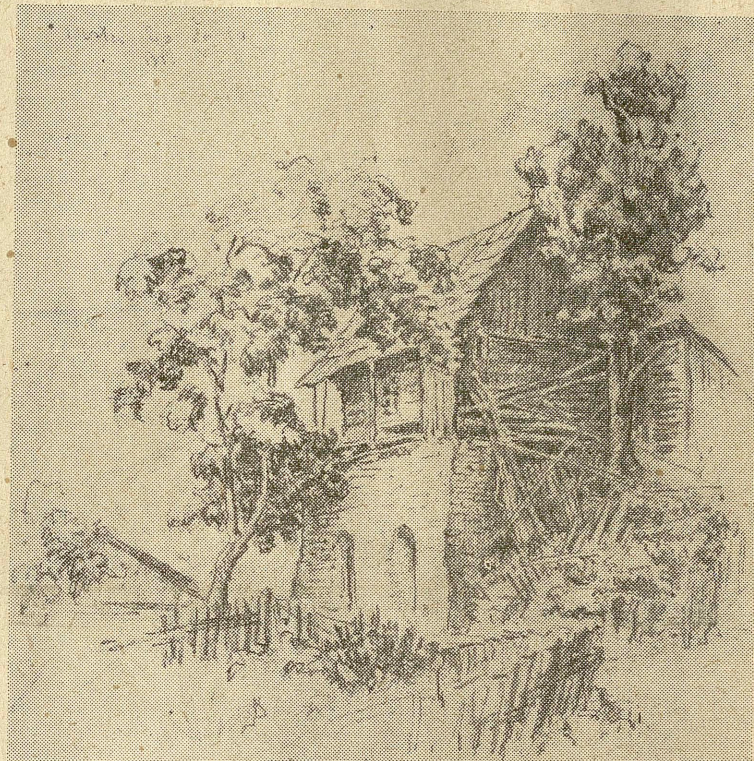
— A jakże — podjął naraz żywo Ciba, podsuwając gościowi słonię. — Przecież ona jak dwie kropki wody podobna do Frani, a wiesz chyba jak oni Franię kochali.

— Ja sam nie wiem, co się z nią dzieje — mówił Rafał. — Powiada, że uczy się, że szkoły wszystkie zrobi.

— Ech, wybij to sobie z głowy — zaśmiał się Ciba — komunistyczna propaganda z tą nauką, nie więcej. Zresztą, po co jej ta nauka, będzie mieć razem od ciebie i ode mnie z pięć morgi ziemi, chłopaki nogi sobie połamią, tak będą się bić o nią. Postawę wzięła po matce, ale urodę po tobie — zawołał i poklepał Rafała po plecach.

— Dyle i ja chciałbym, aby zo-

stała w domu, samemu ciężko żyć...



Rys. Plewińska

przed trzema dniami. szła ze skopcem do dojenia powolnym, kołyszącym się krokiem i przywoływała najstarszą córkę, czytającą książkę przed gankiem.

Ciba zaprowadził Rafała jednak nie do teściowej, lecz do małego pokoiku, w którym, zdaje się, nikt nie mieszkał. Pokręcił się tu i tam i zaraz przyniósł karafkę czystej wódki i żółtą słoninę na talerzu, pokrajaną na drobne plasterki.

— Zakropić może? — pytał swobodnym, grzecznym głosem.

— Po diabła — mruknął umyślnie ordynarnie Rafał.

Wesła już Irka najstarsza córka Ciby, studiująca bodaj prawo na uniwersytecie w Krakowie, wnosząc salatkę z pomidorów i chleb biały, świeżo upieczony.

— Na zdrowie więc, Rafałku — powiedział Ciba i nie zważając na milczenie szwagra, ciągnął dalej przyjaznym tonem.

— Jakże tam u ciebie? Co słychać? Słyszałem, że Basia przyjechała na urlop.

— W samej rzeczy.

— Nie powinienes jej już puszczać. Gdzież to dziewczynie z naszej rodziny zajmować się murarką, czy czymś tam podobnym, dziewczyna schamieje, wykołbie się, ja ci to mówię. A na przykład przecież mogłaby pracować u mnie.

— Właśnie. Pomógłbym ja tobie, pomógłbyś ty mnie z Basią, żyłbyśmy naprawdę jak w rodzinie.

— Partyna ona? — pytał i nakładał sobie wolno na chleb słoninę.

— Na tych rzeczach ja się nie znam.

— A to nie dobrze.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył Ciba.

— Rafałku, o tym i cały wieczór mówić bylibyśmy trzeba. Ty nie słuchasz radia, ty nie wiesz, a idą czasy, które wymagać będą od nas wielu rzeczy, rozumu, ale i sprytu. Tak, tak, bracie.

— Masz czas w niedzielę? — rzucił niespodzianie

— A bo co?

— Chciałbym cię prosić i Basie na chrziny. Ano wiesz, po 20 latach małżeństwa spotkało mnie szczęście. Bóg zesłał mi syna. Pragnę godnie uczcić to wielkie zdarzenie w moim domu.

— Nie wiem. Muszę kobyłę paść, nie ma kto — bąkał Rafał.

— Co tam, zamkniesz ją po południu w stajni. Jeden raz nie pójdzie, nic się jej nie stanie.

Stanisław Pięta

JOZEF RATAJCZAK

P E J Z A Ż

Daleki kołchozowy pejzaż utonął w rozkwitniętych sadach — z pół powracają wolno stada i pieśń z pół wraca najpiękniejsza.

W zacisznej izbie przy wieczerzy babka o dawnym mówi życiu, wnuk goni babki myśl swą myślą i jakoś trudno mu uwierzyć.

...Pustynia była tu, pustynia, i pusty był żołądek chłopce — głód nie jednego zabrał syna...

Babka mówiła... A za oknem szlachetna jabłoń Miczurina kwiaty zmieniała na owoce.

TADEUSZ GICGIER

WIECZORNA PIOSENKA

Mgła wieczorna zasnuła dolinę, pierwsza gwiazda w półmroku się skrzy. Wokół cisza. Gdzieś z dali pieśń płynie o harmonii, co błądzi po wsi.

To się wznosi, to znowu opada. Młodych głosów dziewczęcych brzmi chór, budzi echa w zagrodach, po sadach i jak fala uderza o bór.

Czasem cichnie, zdławiony tęsknotą. Wtedy myślisz: skąd słychać tę pieśń? Czy nie z kraju, co zrodził ją młoda i swe piękno przemienił w jej treść?

Znów wezbrała melodia, tak bliska. Nocny przed nią ustąpił gdzieś chłód. Piśń radziecka, a jakby ojczysta: polska wiesz z nią się kładzie do snu.

RYSZARD KORN

Wieża francuska w walce z okupantem amerykańskim

(Wokół odczytu Roger Vaillanda)

BUGEY jest małą wioską zagubioną w sercu wielkiego lasu u podnóża gór, na pograniczu Jury i Sabaudii. Las jest gęsty, pełen stuletnich dębów, buków i kasztanów. Nieco wyżej, kępy rachitycznych jodeł, sprowadzone tu z Sabau



Mal. Marc Saint Saens.

dii z trudem przystosowują się do nowych warunków. Las pełen jest również dzikich wiśni, których kwiat wiosną, odcina mocno wielką białą plamą od delikatnej zieleni rodzącego się listowia. Las jest dziki, pozabawiony prawie zupełnie dostępu, w jego podszyciu, ze starego bukszpanu, wałęsają się dziki. Orły mają tu swe gniazda, z których robią wypady, porywając kurczęta z okolicznych wsi, punktualnie rano między osmą a dziesiątą i wieczorem między szóstą a ósmą.

Domki Bugey rozrzucone są na wielkiej polanie, gdzie na początku stulecia ponad 500 mieszkańców zbierało plony wystarczające na wyżywienie. Ich, ich rodzin i na od sprzedanie czegoś od czasu do czasu w pobliskim Lyonie. Dziś siedem rodzin, 42 mieszkańców, twarde góry, zaprawionych w znoję pracy, żyje tu z trudem wśród ruin starych domostw. Inni zmuszeni ciężkimi warunkami, wymigrywali powoli w poszukiwaniu pracy do miasta.

Czterdziesty trzeci mieszkaniec wioski nie jest góraliem i nie uprawia ziemi. Jest intelektualistą, pisarzem o dużym talencie, który w Bugey znalazł schronienie i spokój potrzebny mu do twórczej pracy. Niestety niebawem prysnął miał urok spokojnej i czystej podgórskiej okolicy. Wtargnęli tu nowi przybysze, których obecność stała się wkrótce nieznośna dla mieszkańców: amerykańskie jednostki okupacyjne.

Stolica Francji jest bardziej stołeczna, a prowincja bardziej prowincjonalna, niż gdziekolwiek indziej. Stąd zagubiona w podgórskim odłudziu wioska Bugey jest tak nieznośnie typową wioską francuską. I opisując jej ludzi Roger Vailland opisuje przeciętnego chłopca. Opisując zaś jego walkę z ponowną okupacją ziem francuskich — mówił o tym także na wywołanym niedawno w Warszawie odczycie, obrazując walkę jaką wydała okupantom francuska wieś.

Vailland nakreślił sylwetki swych sąsiadów, typowych chłopów francuskich przywiązanych do ziemi, pracowitych, pełnych zdrowego rozsądku.

Oto na przykład Jules Badaulat, bogaty wydawałoby się rolnik, go-

Artyści nad Bukową

(dokończenie ze str. 6)

skaczą po drzewach w jamowskich lasach. Śpiewa wesołą piosenkę, ponieważ dziołek na zawsze otwarty i skrzydełka podniesione jakby do lotu.

*

Pytanie, jakie formy przybrała opieka CPLIA nad artystami ludowymi z Łaźki, zdziwiło nieco inspektora. — Ano malują swoje wzory na naczyniach odstawianych do PZGS-ów, GS-ów, PDT i MHD na terenie całego kraju. Piękne z artystycznym idzie w parze. Ceramiki kaszubskiej jest więcej w sklepach, ponieważ jest droższa i „idzie” o wiele wolniej.

Rozstaliśmy się grzecznie, ale nie mogę wyżyć się jakoś przekonania, że mimo wszystko coś tu nie w porządku. Przecież taki Sikora, Żelazko, Startek, Kurzyński i inni, albo taka Lucja i Waleria Startek, Agnieszka Żelazko, Helena Pasztaleniec i Kurzynowa, to artyści i artystki ludowe wysokiej klasy, reprezentanci naszej sztuki ludowej, zdobywcy nagród na licznych wystawach i konkursach, a mimo opieki i pomocy państwa malują swoje wzory i nadają formy naczyniom anonimowo. CPLIA myśli tylko o planach finansowych. Dlaczego nie mogą oni oprócz przedmiotów użytkowych wyrabiać w planach naczyni wartości czysto artystycznej, zaopatrywać je w swój znak albo podpis i otrzymywać za wykonanie wyższą cenę?

Krystyna Palys

spodarujący na 14 ha ziemi. Ale za moźność jego jest tylko pozorna. Badaulat gospodaruje w sposób prymitywny, brak mu maszyn rolniczych, nie stać go na nawóz, ani na gatunkowe ziarno siewne. Jego zbiory są złe, zboże słabowite, sioma mizerna, pola pożerane przez chwasty. Trudno aby było inaczej. Cena kwintala zboża jest obecnie 18 razy wyższa niż w roku 1938, podczas gdy ceny produktów przemysłowych, to jest wszystkich tego czego Badaulat i inni mieszkańcy Bugey sami nie produkują i są zmuszeni kupować, wzrosły w porównaniu z rokiem 1938 o 35 razy. W ten sposób za każdym razem gdy sprzedaje on produkty rolne aby zakupić artykuły przemysłowe traci połowę tego co zarobił, w porównaniu z rokiem 1938.

W takich warunkach ruina następuje szybko. Dlatego też w chwili obecnej, chłop francuski zabiega nie o to aby jak najwięcej wyprodukować i sprzedać nadwyżkę, lecz o to aby nie być zmuszonym do kupowania. Ta sytuacja doprowadza wieś francuską do regresu, do nawrotu do gospodarki prymitywnej. Chłop musi produkować sam wszystko to co jest mu potrzebne do życia: piec chleba, prząść wełnę na odzież, fabrykować obuwie itd. Ekonomista nazwał to zjawisko „degradacją rolnictwa francuskiego” nienukioną w kraju, który ponad połowę swych dochodów poświęca na przygotowanie i prowadzenie wojny.

Badaulat ma zięcia nazwiskiem Maurice Rocherai, który pracuje jako robotnik kolejowy w pobliskim miasteczku powiatowym. Młody ten człowiek rozmawiany w mechanice postanowił zdobyć kwalifikacje zawodowe. Gdy po dwu latach nauki w ciężkich warunkach udało mu się wreszcie uzyskać dyplom mechanika, okazało się, że nie będzie mógł otrzymać pracy w nowo zdobytym zawodzie, gdyż koleje właśnie redukcją personel. Cóż, kredyty pozyski znowu na cele wojenne. Szukając wyzycia się w swych zamiłowaniach, Maurice postanowił własnym przemysłem zbudować traktor. Ze starych części samochodowych zakupionych za moźnośnie zaoszczędzone grosze zmontował motor, który umieścił na podwoziu własnej konstrukcji wyposażony w opony ze starej ciężarówki. Traktor był gotów. Ale jego duma i zadowolenie nie trwały długo. Okazało się, że eksploatacja traktora jest nierenowna ze względu na wygórowaną cenę benzyny, tak że ojciec Badaulat po staremu orze wołami: a traktor bezużytecznie stoi w stodole.

Badaulat nie orientuje się w zagadnieniach polityki międzynarodowej, ale zdaje sobie świetnie sprawę z tego, że płaci wysokie podatki i że państwo nic mu wzamian nie

daje. Jakże mogłoby zresztą być inaczej. Specjaliści amerykańscy z O.E.C.E. zadecydowali, że we Francji tylko gospodarstwa od 30 ha wzwyż mają rację bytu i zasługują na pomoc. On zaś ma tylko 14. Brak mu maszyn, a eksploatacja tych które posiada jest nieopłacalna.

Niedaleko miasteczka powiatowego Emberieux znajduje się baza lotnicza, na której stacjonują amerykańskie jednostki powietrzne. Ich samoloty odrzutowe przecinające wyciem niebo nad Bugey są dla Julesa Badaulat symbolem złych sił. Ojciec Badaulat brał udział w wojnie 1914 — 1918 i wyniósł z niej głęboką nienawiść do rzezi i gnicia w mokrych okopach. Zdaje sobie sprawę, że obecność obcych jednostek wojskowych w jego okolicy nie wróży nic dobrego. Inni też zaczynają widzieć jasniej. Groza niebez-



Mal. B. Prorokow

pieczeństwa wojny dociera coraz mocniej do świadomości chłopów francuskich. Ich postawa wobec nowego okupanta jest wroga. Akcja uświadomiania miejscowej organizacji Komunistycznej Partii Francji i miejscowej organizacji Francuskiego Ruchu Obróńców Pokoju daje coraz lepsze wyniki.

Wroga postawę ludności wobec okupanta amerykańskiego najlepiej ilustruje los jaki spotkał wystawę zorganizowaną przez amerykańskie organa propagandowe w Emberieux. Wystawa miała uświadomić dobrodziejstwa, jakie spotkały Francję w ramach planu Marshalla. Tego było już borykających się, skazanym na ciągły regres chłopom za wieś! Nocą, grupa bojowników o pokój, dając wyraz oburzeniu ludności zni-

szczyła namioty wystawy najeżdżając na nie ciężarówką normalnie przeznaczoną... do niewinnej czynności wywożenia śmieci. Środek akcji zaiste symboliczny...

* * *

Ale walka chłopstwa francuskiego z podżegaczami wojennymi nie ogranicza się tylko do sporadycznych akcji. Świadomość groźącego niebezpieczeństwa, konieczności obrony pokoju, dotarła już do najszerzszego mas ludowych.

Wyrazem jej był Kongres Chłopów w Obronie Pokoju, który odbył się w Issy-les-Moulineaux pod Paryżem w dniach 22 i 23 listopada br. Na Kongres przybyło 700 delegatów 72 departamentów Francji, reprezentujących wszystkie warstwy chłopstwa francuskiego. Delegatów różniących się poglądami politycznymi, społecznymi i ideologicznymi łączyła miłość pokoju wspólna wszystkim ludziom siejącym ziarno życia, ziarno chleba powszedniego. Zrozumieli oni, że nie może być zbiorów na ziemiach zoranach wojną, spalonych napalmem. Przybyli tu mało i średniorolni gospodarze, drwale, ogrodnicy podmiejscy, robotnicy rolni, plantatorzy winnic, których twarze i ręce noszą piętno ciężkiej pracy na roli. Obok nich, ramie przy ramieniu, zajęli miejsce liczni inżynierowie - agrotechnicy, lekarze weterynarii i profesorowie szkół rolniczych — powszechnie znani uczeni. Wieś francuska była tu reprezentowana w całej swej barwnej różnorodności.

W ciągu dwu dni, w atmosferze powagi i ufności odbywały się obrady Kongresu. Powagi wobec niebezpieczeństwa wojny i ufności w świętą sprawę pokoju, która od tak dawna przyswiewa ludzkości blaskiem nadziei.

W czasie obrad wielu mówców podkreśliło ciężką sytuację rolnictwa francuskiego wynikającą z obciążenia kredytów dla wsi i powiększenia budżetu wojkowego. Kongres postanowił powołać stałą Narodową Komisję Chłopską dla Obrony Pokoju i Rolnictwa, oraz wystosował apel do wszystkich chłopów Francji wzywający do jak najszybszego rozbudowy Ruchu Pokoju na wsi francuskiej. Dokonano również wyboru delegatów chłopskich na Kongres Narodów w Wiedniu.

Kongres pokojowy chłopów w Paryżu był tylko małym wycinkiem wielkiej akcji, jednym z drzew wśród rosnącego lasu. Ale, drzewem potężnym, drzewem mocnym, jak sam chłop francuski — nie mniej przywiązany do demokracji i wolności, niż do swych odwiecznych tradycji.

Ryszard Korn

HENRYK WANDOWSKI

„LIU SIAO-TSI STAJE SIĘ CZŁOWIEKIEM”

STATNIO opublikowany tom chińskiej opowiadań — daleki jest bardzo od tak popularnych w międzywojennym dwudziestolecu smirowatych „pozyty” oślawionej literatury egzotycznej. Bo ileż to publikowało się niegdyś „kasowych” książek „chińskich” czy „indyjskich”, których autorzy przedstawiali zahukanego, bosoego i obdartego kulisa ciągnącego ulicami Szanghaju dwukolorową rikszę! W rikszę oczywiście bogaty europejski, czy amerykański turysta. Kulis — oczywiście — uśmiechnięty. Żaden „szanujący się” pismak nie pomylił też nigdy okazji, aby dodać, że Chińczycy jedzą ryż pałeczkami. Żaden nie skąpił również czytelnikowi roztoczenia całego „uroku” chińskiej chałby bambusowej. Taka literatura mogła jedynie służyć kapitalizmowi i nie dziwnego, że rozwijała się szczególnie bujnie w okresie „kolonializmu”. I dlatego też, gdy dla Chin skończyła się epoka „kolonializmu”, naród chiński, wyswobodzony się z pięć wieleletniej zależności od obcej i rodzimej burżuazji, stworzył nową literaturę, całkowicie obcą wszelkim bajacutwom „egzotyizmu”, literaturę realizmu socjalistycznego, ukazującą wspólnym wszystkim narodom wyzwolonym proces budowania nowego życia, przynoszącą właściwą ocenę przeszłości ponurego wyzysku i ucisku.

Już pierwsze dwa opowiadania tomu, zatytułowane „Podatek gruntowy” i „Dzieje Fu-Kueja”, określają kierunek ideowy całej publikacji. Ich autor, Cza Szu-ih, ukazuje nieludzki wyzysk chłopstwa przez obszarników, lichwiarzy i urzędników kuomintangowskiego aparatu administracyjnego. A więc „wyzwolenie z egzotyizmu”. Obserwujemy bowiem istotne „konflikty rzeczywistości”. Nie owa egzotyczna bambusowa chałba jest ośrodkiem zainteresowania pisarza, a samo życie chłopów, ich beznadziejna harówka, nędzna vegetacja — wszystko zduszone zachłanną łapą bogactwa i poborcy podatkowego. Również pełne życiowej prawdy jest opowiadanie Szu Uej pt. „Akt kupna”. Autor rysuje sylwetkę zachłannego bogacza, który przez kilkadziesiąt lat gniebił bezlistnie chłopów. W ich świadomości zakorzenił się tak głęboko lęk przed

bogaczem, że nawet po wyzwoleniu udało mu się utrzymać zagrabioną ziemię. Ale z pomocą przyszedł chłopom delegat rejonowego komitetu partii, który ukazując na przykładzie ich własnego życia zmiany, jakie zaszły w państwie, spowdował, że przełamali swój bierny i lękliwy stosunek do bogacza. Opowiadanie kończy się wymowną sceną obrachunku biedoty z wyzyskiwaczem. Trzeba dodać, że temat ten jest bardzo typowy dla współczesnej literatury chińskiej; akcja obrachunkowa — biela bowiem cały teren wyzwolonych Chin i stanowiła poważny krok w procesie uświadomienia mas.

Walce Armii Ludowej — Wyzwolenie poświęcono także szereg opowiadań; ich autorzy podkreślają zdobyte mas na terenach wyzwolonych i ukazują, jak pod wpływem rewolucyjnych zmian dokonuje się przełom w świadomości ludzi. Szczególnie trafnie olbrzymią rolę Armii Ludowej-Wyzwolenie, jako ośrodka wychowawczego podkreśla w swoim opowiadaniu „Powrót do domu” Liu Paj-jue. Autor, który był przez dłuższy czas korespondentem wojennym, znając dobrze życie żołnierskie, przekonywająco przedstawia proces reedukacji chłopów-żołnierzy, walczącego poprzecznie w szeregach wojsk kuo minlingowskich. Kontrast między życiem na ziemiach zajętych przez Czaung Kai-szeka, a życiem na terenach wyzwolonych, bezwzględny wyzysk z jednej strony i paracelacja obszarników majątków z drugiej — wywierają ogromne wrażenie na bohaterze opowiadania, prostym żołnierzu Li Kuang-he i przyczyniają się do przełomu w jego świadomości.

Trzecia grupa opowiadań opublikowanych w omawianym tomie poświęcona została już pokojowemu budownictwu Chin demokratycznych. Najbardziej charakterystyczne w tej grupie jest opowiadanie Lu Mej pt. „Dwie czerwone chorągiewki”. Autor sugestywnie przedstawia tu wychowawczą rolę kolektywu, który pomaga odnaleźć staremu robotnikowi drogę do prawdy klasowej.

Zawarte w tomie opowiadania zadziwiają bogactwem czerpanego bezpośrednio z życia materiału. Lektura książki życia nieodpar-

ty wniosek, że najbujniejsza nawet fantazja pisarza nie potrafi stworzyć tak żywych i dramatycznych konfliktów, jakich bez trudu dostarcza samo życie. Trzytności opowiadań o nędznej roli chłopstwa za czasów Kuomintangu, o bohaterach walk Armii Ludowej-Wyzwolenie, o budownictwie demokratycznych Chin po wyzwoleniu! Trzytności opowiadań i żaden niepodobny do drugiego. Czytelnika, który by chciał wyłowić schematyczne sytuacje czy postaci — spotkałoby przyjemne rozczarowanie. Każda z tych literackich miniatur kipi bowiem całą pełnią skomplikowanej rzeczywistości.

Nie są to arcydzieła literackie, częściej: nawet temat — potraktowany jest jeszcze surowo i szkiełowo, a jednak z każdego zdania wyciera ważny problem, wyciera życie. Co jest tego przyczyną?

„Bezpośredni kontakt pisarzy z ludem jest już tradycją... (w Chinach)”. To zdanie wyjęte z wypowiedzi krytyka radzieckiego N. Pachomowa wyjaśnia istotę rzeczy. Trzeba wiedzieć poza tym, że tematy do tych opowiadań czerpali pisarze z osobistych doświadczeń, które zdobyli zwłaszcza w ostatnich pięciu latach. Wielu z nich przeżywało na wsi w charakterze działaczy partyjnych, wielu brało udział w wojnie, jako korespondenci frontowi. Nic więc dziwnego, że nie fantazja koncywowała konflikty, które w swoich utworach rozstrzygają. To praktyka życiowa dostarczała im niemal gotowych tematów.

Wszystko to sprawia, że czytelnik wglębiający się w lekturę nabiera zaufania do występujących w tych utworach postaci. Nabiera zaufania do postawionych problemów, do zobrazowanej prawdy społeczno - historycznej, a tym samym do całej sprawy, której literatura tu służy. Po odłożeniu książki jeszcze długo pozostają w wyobraźni bohaterowie opowiadań, którzy uosabiają milionowy naród chiński w jego codziennej, ciężkiej walce o nowe jutro.

Henryk Wandowski

* „Liu Siao-tsi staje się człowiekiem”. Opowiadania. Przełożył z przekładu rosyjskiego Józef Brodzki. „Książka i Wiedza”. Warszawa 1952, str. 197.



BRONISŁAW GÓRALIK-BOŻANOWSKI

Miczurinowcy z Bąkowic

ZANIM bąkowiccy chłopcy z powiatu bąkowskiego na Opolszczyźnie nabrali pełnego przekonania do nauki Miczurina i Łysenki, tych czarodziejów pól i zrozumeli, że produkuje doświadczenia agrobiologii radzieckiej otwierają przed rolnictwem nieznane dotąd perspektywy rozwoju, musieli to namacalnie stwierdzić na konkretnym przykładzie we własnej wsi. Bo, jak gdzie indziej, w szeregu jeszcze gromadach, tak też i tu w Bąkowicach głęboko zakorzeniła się w chłopskiej psychice nieufność do wszelkiego nowatorstwa. Nie daly wyniku próby przełamania muru przesądów i nieufności czynione przez agronoma gminnego. Zbywano go żartami albo ciekawymi uwagami. Średniacy i małorolnicy, trzymając się niewolniczo starego tradycyjnego systemu gospodarowania, stosując te same co ich ojcowie na Wołyniu czy Podolu metody uprawy roli, nie dokładali prawie wysiłków, by podnieść urodzajność swoich pól i zwiększyć wydajność z ha drogą mechanicznej obróbki ziemi, racjonalnego nawożenia, terminowego wysiewu zbóż, walki z chwastami oraz szkodnikami roślin. Stale zastanawiano się na nową w gruncie rzeczy argumentacją, że to niby szczyty wysiłku, bo to i grunt pasczyści i nieurodzajny, przechodzący miejscami w glinę i wapienie i susza lub inne kłeski przesładują te strony, więc powodzenie kosztownych zabiegów niepewne. Tak więc w gromadzie poprzestawano na dotychczasowych zbiorach, które nikomu imponować nie mogły: 15 lub 16 q żyta z ha, do 15 q pszenicy, około 100 q buraków. Poza tym rokrocznie zbierano ziemniaki jak orzechy i koszonki owies, w którym by się kura schowała. Marne zbiory z pól nie stwarzały naturalnie odpowiednich warunków do hodowli trzody chlewnej czy bydła. Na 60 gospodarzy we wsi przyspadało nie więcej jak 60 krów i 90 świń, z których dochód nie wystarczał na zaspokojenie własnych potrzeb konsumpcyjnych.

Taka to była gospodarka bąkowickich chłopów.

I pewna stagnacja w życiu gospodarczym wsi trwałaby jeszcze w dalszym ciągu, gdyby nie pionierski zryw i twórcza inicjatywa miejscowej młodzieży szkolnej starszych klas, która obmyślała zaczęła sposoby zmiany istniejącego stanu rzeczy. Czego nie potrafili, czy też nie chcieli dokonać starzy — dokonali młodzi. Od dłuższego już czasu pochłaniali ich opisy urodzajów w ZSRR. Barwne ilustracje przedstawiające do-rodne lany zbóż i okopowych w kłochach radzieckich wywierały na nich głęboki urok. Wieczorami rozczytywali się w artykułach pism radzieckich opisujących postęp wiedzy agrobiologicznej w kraju Rad, wznosił pionoń i dobrobytu kolechożników, wielkie budowle komunizmu itd. Stopniowo zgłębiać zaczęli tajniki wiedzy agrobiologicznej i dochodzili do zrozumienia źródła zła w swej gromadzie. Jakżeż mogą rodzić ich ojcowie pola, skoro ziemia jest wyrobiona i prawie jałowa, zagnio u-żywane do siewu wyrodnie, drobne jak mak, zboża toną w chwastach i kłochach, szkodników chmara... to było jasne. Kiedy porównywali kłasy ubierane na bąkowickich polach z tymi, jakie wydawała ziemia kłochów Ukrainy czy Białorusi, nie którzy w oszołomieniu mawiali, że tamto — to bujda. Ale inni twardzi mówili: czyż nie można byłoby spróbować tu u nas, w Bąkowicach, że jest to jednak prawda i przekonać o tym gromadę? Medytowali, rozważali, spirali się, aż któregoś dnia spora gromadka na czele ze Stanisławem Dedykiem, mądrym i rozumnym wychowawcą — postanowiła złożyć u siebie kółko miczurinowskie. — Musimy wszystkich niedowiarków przekonać, że piony pól można uwielokrotnić, że wydajność z ha zwiększyć, jeżeli zastosuje się w pełni cenne doświadczenia radzieckiej produkującej nauki agrobiologicznej.

Opodał szkoły rósł nieduży lasek pokrywający obszar 2 hektarów. Dla gromady nie przedstawiał on większego znaczenia. Porastał krzakami, drzewa stare, spróchniałe, same się waliły na ziemię. Młodzi zapalczywie uczyli się zarządu gromadzkim, aby pozwolił na wykarczowanie lasku i oddał im go do dyspozycji. Bronili się starzy gospodarze przed natarczywością uczniaków, spluwali przez zęby z irytacji, że im czas po próżnicy zabierają, ale wreszcie ulegli. Któregoś dnia na przedwiośnie ubiegłego roku rozległ się stuk siekier, zadźwięczały pily, zagrzęziały łopaty.

Niech się tam mają skoro im się zachciało i robota co chcą — mawiali gdy robota została zakończona. Zobaczymy co z tego będzie.

Skoro tylko śnieg stał i lody pascy, kółko przystąpiło do prac wiosennych. Dokonano starannej orki, zasłono ziemię różnymi rodzajami nawozów, cały areal podzielono na pola, przeznaczając każde pod hodowlę innej kultury i wysiano ziarna, uzyskane od Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin. W parę tygodni później w miejscu, gdzie do niedawna szumiały drzewa i porastały krzewy, pięknie zazieleniły się różne gatunki zbóż. Szczególną uwagę zwracał na siebie 2 i 4-rzędowy jęczmień o ciemnych, szerokich liściach. Kiedy następnie pole przemieniono się w żłowiwy kobierzec szeleszczących dorodnych kłosów, sensacja obiegła całą gromadę i okolicę. Ziełali się chłopcy bąkowiccy, by podziwiać nową, nieznaną u nich odmianę jęczmienia. Droga tzw. samorzutnej krzyżówki wegetacyjnej z 2 i 4-rzędowego jęczmienia powstała nowa odmiana 6-rzędowa. Ten jęczmień wyhodowany na piaszczystym gruncie, o okrągłych prawie kłosach, przewrócił zupełnie w głowach chłopom bąkowickim, zadając kłami ich twierdzenie, że piaszczysta ziemia nie może dać urodzaju. Przychodzili ze swymi kłosami, porównywali, przymierzali, liczyli ziarno. I co się okazało? Nowa odmiana kłosa jęczmienia zawierała ponad 80 ziaren, podczas gdy miejscowi chłopcy nie naliczyli się w swoich więcej jak 30. — Jak to jest — mówili chłopcy przecierając oczy ze zdumienia. — Czy to możliwe? W prawdę też trudno było wątpić. Wymowa kłosów była nie do odparcia. Posiadacze piaszczystych działek zaczęli przychodzić do młodych miczurinowców i wypytwać o jęczmień o czarnej łusce, skąd wzięli, jakich nawozów użyli, jak wysiewali. Na tym się sensacja nie kończyła. Bo oto z innych działek falowała psemna krzaczasta, owies o szerokiej wieście i żyto. 130 odmian zbóż wysiało kóło na swo- gruncie. Zamieszanie na wsi wzrastało. — Bąkowiczanie zaczęli się ruszać.

Jeżeli dotychczas czytelnictwo stało na niskim poziomie, a literatura rolnicza była prawie nieznana, to obecnie z rąk prawie wyrwaną sobie broszury i książki z zakresu wiedzy agrobiologicznej i agrotechniki, wypożyczone w bibliotece szkolnej, Coraz częściej gościć zaczęła w rękach chłopów bąkowickiego gazetka codzienna, czasopismo fachowe, a nawet miesięcznik, w którym szukał artykułów z dziedziny uprawy roli, sadownictwa, hodowli. Wieś zaczęła się budzić z odrętwienia i szukać dróg prowadzących do podniesienia gospodarstwa rolnego na wyższy szczebel kultury. Budziła się ambicja i twórcza inicjatywa chłopów.

Na jesieni młodzi miczurinowcy z Bąkawy przeżyli jeszcze jedno zwycięstwo. Rewelacja tym razem stały się ziemniaki. Spółrod 80 odmian zasadzonych na wiosnę kartofli wyselekcjonowano kilka odmian odpornych, na choroby wirusowe. Pod krzakami było od 40 do 50 bulw, niektóre z nich ważyły 80, 90, a nawet 130 dkg. Prawdziwie olbrzymi. Wystarczyło wykopać dwa i trzy krzaki, aby napelnąć cały kos. Zbiór z 1 ara wyniósł około 6 q! — gdy przeciętny bąkowicki gospodarz z hektara przez siebie dotychczas uprawianego nie zbierał nigdy więcej jak 150 q. Ta olbrzymia różnica skłaniała każdego do zastanowienia. Liczyli więc niekiedy jak żyży, Czyż i inni, że gdyby nie jeden ar, ale całe hektary zasadzone takimi sadzawkami i każdy hektar wydał już nie 600 q, ale przynajmniej 450 q... ileż ziemniaków więcej mieliby dla swoich potrzeb w gospodarstwie, mogłoby wtedy rozwinąć i hodować bydła i trzody, trzymać więcej drobiu, a olbrzymie jeszcze nadwyżki odstawić do miasta. Ta lekcja poglądowa — udzielona przez młodych pionierów postępu rolniczego w Bąkowicach — przekonała chłopów miejscowych do reszty.

Obecnie w porze zimowej kółko miczurinowskie prowadzi ożywioną kampanię upowszechniania swoich doświadczeń. Na wieczornych zebraniach, w wspólnych dyskusjach polemikach i rozmowach z chłopami omawia się sprawę postępu gospodarstwa bąkowickiego.

Z tą chwilą prace miczurinowskie w Bąkowicach wkroczyły na nowy etap: z eksperymentu naukowego stały się sprawą szeroką, ogólnogromadzką praktyką gospodarczą, stanowiącą poważną część ogólnych poczyną w kierunku zwiększenia pionoń naszego rolnictwa. Dzięki młodym miczurinowcom Bąkowice obudziły się z odrętwienia gospodarczego i zaczynają uruchamiać ukryte rezerwy w swej gospodarce przez wprowadzenie w życie założeń produkującej nauki Miczurina.

Bronisław Góralik-Bożanowski

